



EGZEMPLARZ BEZPŁATNY – ZABIERZ DO DOMU

**MAGAZYN INSPIROWANY ŻYCIEM
NAD GWDĄ I NOTECIĄ, NA KRAJNIE I POJEZIERZACH**
NR 8 · MARZEC - KWIECIEŃ 2020

PIŁA · WAŁCZ · ŻŁOTÓW · CHODZIEŻ · CZARNKÓW · TRZCIANKA



KATARZYNA WŁODKOWSKA

DALEKO OD DOMU MIELIŚMY NIE PŁAKAĆ

ZAJRZYJ NA WWW.MAGAZYN67.PL



Dlaczego 67?

Kiedy ostatnio wybierałeś na klawiaturze numer telefonu stacjonarnego? No właśnie... 67 to kierunkowy do naszego regionu. Ale jak znalazł się w tytule magazynu? Trudno znaleźć jednolitą, krótką i chwytliwą nazwę dla regionu, w którym nazwy geograficzne i kulturowe przenikają się jak nigdzie indziej. Krajna, Pojezierze Wałeckie, Pojezierze Chodzieskie, Dolina Noteci, Dolina Gwdy, Północna Wielkopolska, Zachodniopomorskie... Trudno w góra trzech słowach ująć ten zestaw wspólnych pojęć, określających nas. I wtedy przyszedł mi do głowy wspólny numer telefonu...

Tego numeru nie znajdziesz na mieście. W wyjątkowej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się wszyscy, zdecydowaliśmy, że ósmy numer Magazynu67 ukaże się wyłącznie w formie elektronicznej. Najpierw myśleliśmy o tym, żeby – ze względów bezpieczeństwa – ograniczyć dystrybucję do miejsc, w których magazyn jest najchętniej zabierany do domu, a wyłączyć miejsca, w których leży na stolikach, czeka w poczekalniach, jest przeglądany i odkładany dla kolejnych czytelników. To prosta droga do przekazania koronawirusa przez osobę nieświadomą tego, że jest nosicielem. Nie chcemy się do tego przyczyniać, dlatego ósmego numeru nie znaleźlibyście tam, gdzie szukacie go chętnie, spędzając przyjemnie wolny czas: w gastronomii, w poczekalniach salonów fryzjerskich czy kosmetycznych.

Poprzednie numery możesz zamówić wysyłkowo. Napisz na sklep@magazyn67.pl. Koszt to 7,99 zł z wysyłką na adres w Polsce lub 17,99 zł z wysyłką za granicę. Nakład nr 3 został wyczerpany.

Jeżeli chciałbyś, by Magazyn67 był dostępny w twoim lokalu, napisz na marcin@magazyn67.pl.



67. Magazyn Regionalny

Życie inspirowane Gwdą i Notecią, Krajną i północno-zachodnimi pojezierzami (Chodzieskim, Wałeckim, czasem też Drawskim i Szczecińskim)

Magazyn bez polityki, sensacji i przemocy. Bez przedruków – w pełni autorski przewodnik po regionie dla jego mieszkańców i gości.

Numer 8, marzec – kwiecień 2020

www.magazyn67.pl
facebook.com/Magazyn67

Redaktor naczelny
Marcin Maziarz
marcin@magazyn67.pl
791 847 452

Reklama
Magdalena Stankiewicz
magda@magazyn67.pl
501 450 785

Wydawca
M67, Marcin Maziarz

Nakład wydania dystrybuowany cyfrowo.
Zwykle z dumą drukowany w regionie przez



Egzemplarz bezpłatny. Jeżeli znalazłeś go na mieście – po prostu zabierz do domu i spokojnie dokończ lekturę. Magazyn67 możesz także zamówić wysyłkowo do dowolnego miejsca w Polsce i za granicę, do którego dociera poczta. Cena jednego egzemplarza z wysyłką na adres w Polsce to 7,99 zł, zaś z wysyłką za granicę – 17,99 zł. Zamówienia pod adresem sklep@magazyn67.pl. Możesz także zamówić numery archiwalne – są dostępne do wyczerpania zapasów (w tej chwili nakład numeru 3 jest wyczerpany).

Sprzedaż bezumowna numeru bieżącego i numerów archiwalnych jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w numerze bez zgody wydawcy jest zabronione w całości i we fragmentach (poza warunkami, w jakich dopuszcza je prawo). Kontakt w sprawie przedruków i dystrybucji: Marcin Maziarz, marcin@magazyn67.pl, 791 847 452.

Publikacja materiałów oznaczonych jako „Artykuł sponsorowany” i „Materiał przygotowany we współpracy z partnerem” została opłaconą przez reklamodawcę. Treści oznaczone jako „Artykuł sponsorowany” zostały przygotowane przez partnera. Treści oznaczone jako „Materiał przygotowany we współpracy z partnerem” zostały przygotowane przez nas na zlecenie partnera, który uwieryź nam, że zrobimy to dobrze, w duchu Magazynu67.



Na okładce

Kasia Włodkowska robi rzeczy wielkie. Jest nauczycielką, która skutecznie angażuje uczniów nie tylko w naukę. Kiedy siada przy stoliku i zaczyna sączyć kawę, szybko staje się dobrą znajomą i opowiada o budowie domu dla ponad setki dzieci gdzieś w Afryce, jakby mówiła o tym, że jutro przekopie ogródek i posieje marchewkę. Trudno obok tej jej skromności przejść obojętnie, jak i obok tego, co robi w Ugandzie. Wszystko jest przemyślane, i tak naprawdę ma jeden cel: usamodzielnic tę społeczność. Więc kto jak nie Kasia mógł znaleźć się na okładce?

Ucieczka. Niekoniecznie w Bieszczady

W nietrywnych czasach przyszło nam żyć, i to całkiem niespodziewanie. Koronawirus z dnia na dzień zmienia plany nam wszystkim, każąc ogromnej części z nas pozostać w domach. Mam nadzieję, że mimo to Magazyn67 dotarł do Ciebie i możesz cieszyć się ósmym numerem na kanapie, w fotelu, czekając aż niepokój opadnie, a wszystkie obawy i przygotowania – szczęśliwie – okażą się na wyrost. Oby.

Z drugiej strony doświadczenie #RazemDlaFilipa było czymś niezwykłym. Niesamowita mobilizacja, pokłady dobra i bezinteresowności, które wydobył z nas ten chłopak, to coś nad czym trzeba zatrzymać się dłużej. Dobro, które robią także jego rodzice, bo kiedy zbiórka przekroczyła zakładany poziom, poprosili o wpłaty dla innych potrzebujących, jak i sami zadeklarowali przekazanie nadwyżki dla kogoś, kto zмага się z chorobą. A oprócz dobra – także skuteczność, co też ważne nie tylko w tych czasach. W czasach, w których mamy problem z dowożeniem efektów, realizacją deklaracji i powinności. Podziwiam i kłaniam się zespołowi, który stał za akcją #RazemDlaFilipa – zarówno tym, których było dane mi znać wcześniej, poznać niedawno, jak i tych, których nie znam do dziś. Zrobiliście przeogromną i niezwykle ważną rzecz w czasach, w których „nie da się” wylewa się z każdej strony.

A gdzieś za oknem rozwija się wiosna. Zaprasza do wyjścia, zaczerpnięcia powietrza, ucieczki daleko od zgiełku. Mamy Noteć, mamy Gwdę, mamy dziesiątki innych rzek, jeziora i lasy... Może wcale nie trzeba wyjeżdżać w Bieszczady?

Przyjemnej lektury i do zobaczenia!

*Marcin Maziarz
wydawca Magazynu67*



Fot. Marcin Maziarz

PS. Jeżeli chciał(a)byś z nami pracować, współtworząc jedyny taki magazyn w regionie... Drugiemu handlowcowi oddam naprawdę solidną prowizję. Napisz na marcin@magazyn67.pl.





Zdjęcie zostało wykonane rano 21 października 2019 roku, z myślą o kalendarzu Nadleśnictwa Wałcz. Warunki atmosferyczne nie sprzyjały zarówno fotografowaniu, jak i lataniu. Mgła była na tyle gęsta, że miałem już zrezygnować. Po wzbiciu się ponad korony drzew i przebiciu przez gęste zwały mgły, zobaczyłem ten ujmujący wschód słońca nad lasami. Zdjęcie jest dla mnie o tyle szczególne, że powstało w miejscu, w którym zaczynałem swoją przygodę w Lasach Państwowych jako stażysta, a dziś jestem pracownikiem Nadleśnictwa Wałcz.

Grzegorz Paluch/FingAir

7 inspiracji

na marzec i kwiecień

Czyli jak efektywnie cieszyć się początkiem wiosny.



Fot. Marcin Maziarz

Wjechać między pola

Bo choć zielono na polach jest – nieprzerwanie – gdzieś od listopada (a może jeszcze wcześniej), to właśnie nadchodzi ten czas, w którym zjechanie z głównej drogi sprawia coraz więcej przyjemności. Po ziemi, która – mimo wszystko – przyniosła dużo szarości, czekamy na słońce, na ciepło, na moment, w którym kurtkę będzie można bez konsekwencji zostawić w domu. I zjechać z głównej drogi między pola, by poczuć odrobinę wyczekiwanej wiosny.

Wysiąść w drodze

Bo skoro już zjechałeś z tej głównej drogi, to wysiądź. Albo zatrzymaj się na chwilę przy tej głównej... Oprzyj się o maskę, o drzwi, o bagażnika... Wystaw twarz do słońca, otwórz oczy na zielenie i błękity. Na wszystko to, czego brakowało przez ostatnie miesiące. To jest ten czas, kiedy najłatwiej czerpać przyjemność z takich prostych zdarzeń, do których nie trzeba się specjalnie przygotowywać, ani nad którymi nie trzeba się szczególnie napracować. Oł, wsiadasz na rower lub do samochodu (którą opcję preferujesz?), jedziesz przed siebie i zatrzymujesz się tam, gdzie pięknie. I bezpiecznie – oczywiście.

Utrwalać obrazy

Jakkolwiek – tak jak lubisz. Rysując, malując, fotografując... To ten czas, w którym fotografia krajobrazowa znowu sprawia więcej przyjemności. Choć osobiście podziwiam tych, którzy potrafią dostrzegać te wszystkie barwne niuanse i przenieść je na papier lub płótno.

Zadzierać głowę

Patrzyć na błękit, zamykać oczy, wciągać powietrze... Gdziekolwiek. Także w mieście, choć poza miastem bywa przyjemniej. Tak, znowu wracamy do motywu zjeżdżania z głównej drogi i cieszenia się prostymi rzeczami. Ale nawet w mieście wystawienie twarzy do słońca przynosi zadziwiające rezultaty.

Ostrożnie zdejmować ubrania

Łatwo przeszarżować, kiedy słońce wychodzi zza chmur i nagle robi się piętnaście na plusie. Więc kiedy już się zatrzymasz i wysiądziesz, by się zachwycić... Nie ufaj słońcu na tyle, by od razu wyskakiwać ze wszystkiego do koszulki. Ciepło na twarzy jest przyjemne, ale ciepła bluza na plecach w marcu jeszcze nikomu krzywdy nie zrobiła (w przeciwieństwie do jej braku). W końcu chodzi o to, by cieszyć się przedwiośnią na dworze, a nie w łóżku.



Fot. ChromaStock

Znowu brudzić ręce ziemią

Nawet jeżeli cały Twój ogród to dwie doniczki, a ziemia pochodzi z dziesięcilitrowego worka z marketu budowlanego. Za to ile frajdy z grzebania w niej! Choćby z wysiania ziół, które staną na kuchennym parapecie. Poczuj wilgotną ziemię w dłoniach, a potem wypatruj zielonego.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WSPÓLNIE Z PARTNEREM



Fot. Archiwum prywatne

RelakSować się

Po zimie – jaka by nie była – marzec to dobry czas na przebudzenie, solidne przeciągnięcie się i dotlenienie. I o ile z tym ostatnim sobie poradzimy, pozostaje jeszcze kwestia przeciągania, rozciągania i poczucia że po zimowej hibernacji w ciele znowu budzi się życie... Nie zaczynamy od „wysokiego C”, bo wiosenne przebudzenie z kontuzją po zbyt forsownych ćwiczeniach, to na pewno zły pomysł. Ale... Co powiesz na spokojne rozciąganie z Agnieszką Sową? Joga RelakSowa, jak nazwała swój program, to zajęcia za które szczególnie wdzięczne będą wszystkie zbolałe kręgosłupy, zeszytwniałe od siedzenia barki i wymagające przewietrzenia głowy. A jeżeli dołożysz masaż relaksacyjny – np. Lomi Lomi Nui – masz chilloutowy pakiet. Agnieszka prowadzi swoje zajęcia w Pile (w poniedziałki) i w Kaczorach (w czwartki). Na łagodny, wiosenny rozruch – jak znalazł. Na zajęcia i masaż umówisz się pod numerem **724 847 427**, szczegóły poznasz na www.jogarelaksowa.pl, a harmonogram sprawdzisz na www.facebook.com/JogaRelakSowa/.

Fakty i liczby



Fot. Materiały prasowe Tecnam Aircraft

Nowy samolot – Tecnam P2008 – dołączy wkrótce do floty Aeroklubu Ziemi Piłskiej. Samolot włoskiej produkcji ma 7 metrów długości i 9 metrów rozpiętości skrzydeł. Jego kabina mieści dwa miejsca. Według danych producenta, rozwija prędkość maksymalną **222** km/h i ma zasięg równy 1.300 km. Potrzebuje jedynie 165 metrów rozbiegu, a przy lądowaniu dobieg wynosi zaledwie 115 metrów. AZP zapowiada, że samolot pojawi się na lotnisku w Pile za kilka tygodni.



Fot. Marcin Maziarz

70.375 osób było zameldowanych w Pile 31 grudnia 2019 r. Wśród nich – 2.025 na pobyt czasowy. Ile osób mieszka faktycznie? To niemal niemożliwe do ustalenia zarówno w Pile, jak i w każdym innym mieście, ponieważ do obowiązku meldunkowego (który nadal istnieje), podchodzimy bardzo swobodnie.



Fot. Marcin Maziarz

930 mieszkań ma swoich zasobach Piłskie Towarzystwo Budownictwa Społecznego. Jedna trzecia znajduje się w blokach w rejonie ulicy Podchorążych i Bydgoskiej, które wcześniej służyły jako koszarowce Wyższej Oficerskiej Szkoły Samochodowej i jej następców. Pozostałe 600 mieszkań znajduje się w blokach zbudowanych przez TBS od podstaw.

„Jestem zameldowany – jestem fair” – tak nazywa się akcja „lojalnościowa”, którą Gmina Szydłowo prowadzi drugi rok z rzędu. Chodzi o zachęcenie mieszkańców gminy do zameldowania na jej terenie. Powód? Oczywiście pieniądze, bo do budżetu każdej gminy trafia część podatku dochodowego zapłaconego przez jej mieszkańców – ale tylko tych zameldowanych. W roku 2020 będzie to 38,16% (o 0,08 punktu procentowego więcej niż w 2019 r.). Efekt ubiegłorocznej akcji to **61** nowych meldunków – najwięcej w Dobrzycy i Szydłowie – po 12 osób. Szydłowo zachęca do meldowania się na terenie gminy udziałem w loterii. W tym roku do wygrania będzie m.in. ciśnieniowy ekspres do kawy, rower i 15 urzędzeń małego AGD. A efekt? W ubiegłym roku do gminnej kasy z tytułu udziału w PIT wpłynęło o półtora miliona złotych więcej niż w 2018. Dokładny efekt akcji trudno oszacować, ale biorąc pod uwagę średnią wartość podatku dochodowego płaconego przez mieszkańca gminy, było to nie mniej niż 100 tysięcy złotych. Wystarczy – na przykład – na 200 metrów chodnika.

W poszukiwaniu oldtimera wcale nie trzeba wyruszać w daleką podróż. Również w regionie można znaleźć wystawione na sprzedaż klasyki, zarówno z Zachodu, jak i ze Wschodu. 24 lutego najstarszym wystawionym w serwisie Otomoto.pl autem w regionie Nad Gwdą i Notecią był radziecki Gaz-21 z 1962 roku, którego sprzedawca zadeklarował Wronki jako swoją lokalizację. Auto na ukraińskich tablicach rejestracyjnych zostało wystawione za 36.000 zł. Prawie dziesięć razy więcej trzeba zapłacić za Forda Mustanga z 1966 r. Odrestaurowany, czerwony kabriolet robi wrażenie nie tylko wyglądem i ceną (**349.000 zł**), ale także silnikiem o pojemności 4,7 l. Sprzedająca auto firma mieści się w Atanazyńce k. Szamocina.

Aż **180** dni będzie ważny bilet, jaki planuje wprowadzić do oferty Miejski Zakład Komunikacji w Pile. Bilet ma kosztować 420 złotych, co w przeliczeniu daje 2,33 zł dziennie. To mniej niż cena jednego biletu jednorazowego (który ma zresztą podrożeć do trzech złotych). Oczywiście z biletem 180-dniowym będzie można jeździć nawet przez cały dzień na wszystkich liniach obsługiwanych przez piłski MZK.

Około **140** seniorów z Piły zostały wyposażonych w „Przycisk Życia”. To brelok wyposażony w kartę SIM, którego posiadacz może wysłać sygnał o zagrożeniu życia. Sygnał jest odbierany przez dyżurnego Straży Miejskiej, a na miejsce natychmiast kierowany jest patrol. Sygnał wysyłany jest także automatycznie w przypadku upadku posiadacza. Przycisk Życia został wprowadzony w roku 2018 i od tego czasu sygnał o zagrożeniu życia został wysłany około 20. razy. Innowacyjne rozwiązanie zostało docenione w konkursie Innowacyjny Samorząd, organizowanym przez Serwis Samorządowy Polskiej Agencji Prasowej.

Chodziejski Rower Miejski Chromek okazał się sukcesem. W drugim sezonie jego funkcjonowania najczęściej z chodziejskich rowerów korzystała pani Alicja, która Chromka wypożyczała aż **721** razy. Najwięcej czasu spędziła na nim pani Julia – 209 godzin 13 minut i 1 sekundę, a najdłuższy dystans wykreślił pan Patryk – 1.318,08 km. W całym sezonie 2019 rowery były wypożyczone 54.380 razy, a łączny przejechany na nich dystans wyniósł 88.902 km. Na koniec roku w systemie było zarejestrowanych 2.925 użytkowników. W tym roku w Chodzieży powstaną trzy nowe stacje Chromka.



67

MAGAZYN
NAD GWDĄ I NOTECIĄ

Pozytywnie
o regionie

także na

www.magazyn67.pl

www.facebook.com/Magazyn67/



Daleko od domu mieliśmy nie płakać

ROZMAWIAŁ: MARCIN MAZIARZ
ZDJĘCIA: Z ARCHIWUM KATARZYNY WŁODKOWSKIEJ



Nazywa się Katarzyna Włodkowska, mieszka w Pile, uczy języka polskiego licealistów z Nafty i wobec niemocy świata ma tę odwagę graniczącą z beczelnością, która pozwala jej rzucić się z – wydawałoby się – motyką na słońce. Bo ilu znasz ludzi, którzy pracując na zwykłym – nauczycielskim – etacie w Polsce, budują sierociniec w Ugandzie?



Za sto tysięcy złotych w Polsce można – od biedy – zbudować mały drewniany domek. Co można za sto tysięcy zbudować w Ugandzie?

Dom dla dzieci. Pierwotnie chcieliśmy zbudować nieduży dom dla siedemdziesięciorga „naszych” dzieci. Zmieniliśmy koncepcję i chcemy zbudować większy, żeby przyjąć też dzieci bezdomne.

Czyli budowy jeszcze nie zaczęliście?

Wykopaliśmy fundamenty, kupiliśmy dziewięć tysięcy cegieł... Później wydało nam się egoizmem, że myślimy tylko o tych „naszych” dzieciach. Są jeszcze dzieci z ulicy, które również zasługują na dom.

To dla ilu dzieci chcecie teraz budować?

Mamy plan, żeby nasz dom pomieścił sto czterdzieścioro dzieci. Brakuje nam dwieście trzydzieści tysięcy złotych.

Czyli łącznie będzie około trzystu tysięcy. W polskich realiach to dom jednorodzinny...

W naszym domu planujemy sale sypialne dla dziewcząt i dla chłopców, dwie sale lekcyjne, świetlicę w której dzieci mogłyby odrabiać lekcje. Ma być kuchnia zewnętrzna i łazienki, które są niebywałym luksusem w tamtych warunkach.

A te „wasze” dzieci, to kto?

A te „nasze” dzieci, to dzieci. Takie same, jak wszystkie inne na świecie. Mają marzenia, chcą chodzić do szkoły, lubią się bawić, mają swoje pasje, swoje obawy, swoje lęki...

To inaczej: czyje to dzieci? Wasze czyli...

Nasze, czyli niczyje. Dzieci, którymi się opiekujemy w Ugandzie, to są sieroty albo półsieroty – dzieci, które de facto, nie mają rodzin. Mają opiekunów, którzy im pomagają.

Ale „wasze”, czyli Stowarzyszenia „Nadzieja Dla Ugandy”?

To są dzieci objęte opieką ugandyjskiej organizacji The Younger Athletic Foundation. A „nasze”, bo przez dwa lata, razem z moimi uczniami, prowadziłam z nimi lekcje on-line. I dlatego mówię „nasze”, bo ich znam, rozpoznaję, znam imiona.

Twoi uczniowie czują, że to są też „ich” dzieci?

Oczywiście. Po pierwsze proces osvajania trwał bardzo długo. Moi uczniowie raz w tygodniu prowadzili – na lekcjach wychowawczych – takie lekcje wychowawcze ze światem. Na początku przedstawiali siebie, mówili o swoich pasjach,

marzeniach, o Polsce, o historii, o kulturze. Zabrałiśmy „nasze” dzieci z Ugandy na spacer po Pile, pokazaliśmy im wyspę, fontannę, naszą szkołę... A że ten kanał działa w dwie strony, chłopcy też opowiadają o historii Ugandy – czasami śmieszne rzeczy – opowiadają o kulturze, uczą tańców... Trzeba było mnie zobaczyć, jak tańczyłam... Każda lekcja jest uwieczniona, więc mój żenujący występ również... My im pokazywaliśmy poloneza, polkę, makarenę... Bywa rozrywkowo. Chłopcy opowiadają nam o najpiękniejszych miejscach w Ugandzie, albo o tym jak wygląda system edukacyjny u nich i pokazujemy czym nasze systemy się różnią. Moi uczniowie pokazują proste eksperymenty fizyczne i chemiczne, a chłopcy uczą nas grać w szachy...

W jaki sposób uczniowie z Ugandy trafili na was?

Pierwotnie byliśmy w programie humanitarno-edukacyjnym i tam w bazie był Ashirafu. Zgłosiliśmy się do tego projektu. Ashirafu napisał do mnie czy chciałabym ze swoimi uczniami prowadzić takie lekcje. Nie powiem, żebym była szczególnie szczęśliwa, bo w projekcie byli też dziennikarze, a moja klasa ma profil medialny, więc to była zdecydowanie bliższa mi profesja. Ashirafu jest sportowcem, a ja pojęcie o piłce mam standardowe, jak na blondynkę. Ale okazało się, że jest to człowiek o wysokiej kulturze osobistej, bardzo rzetelnie przygotowywał lekcje. Połowę lekcji prowadzimy my, połowę – oni. Teraz moi uczniowie martwią się, co się stanie, jak pójdą na studia, bo nie chcieliby tego zaniedbać, a wiadomo, że się rozproszą po Polsce. Chcą dalej, regularnie prowadzić te lekcje.

To dla twoich uczniów ważne?

Moi uczniowie powiedzieli, że od przyjaźni nie ma przerw, więc... Czy są dla nich ważne? Tak, są dla nich ważne do tego stopnia, że kiedy są ferie, wakacje, święta Bożego Narodzenia, oni nadal się spotykają i prowadzą lekcje. Mają silne poczucie przynależności, i to jest piękne.

W święta i w ferie przychodzą do szkoły i łączą się z uczniami z Ugandy?

W wakacje przychodzili do szkoły, a czasami spotykają się u kogoś w domu i prowadzą zajęcia przez Messengera.

Która to klasa?

Trzecia – maturalna. Mogliby znaleźć wiele argumentów, żeby tego nie robić: brak czasu, nadmiar nauki... Mogliby szukać usprawiedliwień, ale tego nie robią. Mają świadomość, że to chyba jest ważniejsze niż cała reszta.

Pojechałiś do Ugandy. Okazało się, że to co oglądaliście w czasie transmisji, to było trochę malowanie trawy na zielono...

Trochę naiwnie wierzyliśmy... Nie wiedzieliśmy za bardzo w jakich warunkach żyją dzieci. Łączyliśmy się głównie, kiedy były w szkole. Był laptop dyrektora, sala lekcyjna... Oczywiście odbiegała od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni w Polsce, ale to nie była jakaś drastyczna różnica. Dzieci wyglądały naprawdę porządnie – każde w identycznym mundurku. Dopiero przyjazd tam otworzył nam oczy.

To jak wyglądało to twoje zderzenie z ugandyjską rzeczywistością? Wysiadłaś na lotnisku...

Nie poleciałam sama, tylko z rodzicami mojego ucznia – z Reginą i Jackiem Wojnickimi, którzy wraz z Samuelem Hübenthalem, tworzą trzon naszego stowarzyszenia. Wysiedliśmy na lotnisku, i już się okazało, że jesteśmy jedynymi białymi w promieniu dwustu kilometrów. Z lotniska w Kampali do Budaki jechaliśmy jeszcze sześć godzin.

Budaka to miasto? Wieś?

Moim zdaniem to duża wieś. Nie ma sklepów, rolnicy sprzedają swoje produkty bezpośrednio na rynku.

A jak wyglądała rzeczywistość dzieci? Sierociniec to wynajmowany budynek bez okien, z ogromną żelazną bramą. W sierocińcu były cztery pokoje z wnękami, takie malutkie miejsce, w którym grali w szachy, równie mała kuchnia, w której Jowelia, która też się opiekuje dziećmi, przygotowywała posiłki. Było również coś, co przypominało toaletę. No i nieduży plac. Myślę, że całość mogła mieć sto pięćdziesiąt metrów powierzchni.

Ile dzieci tam mieszkało?

Pięćdziesięciu siedmiu chłopców. Brak miejsca jest tam największym problemem. Pierwszy raz w życiu widziałam trzypiętrowe łóżka.

Trzypiętrowe?

Trzypiętrowe, żeby zmieściło się jak najwięcej dzieci. Na jednym materacu spało średnio dwóch chłopców. Materace na dzień są składane na łóżka i leżą jeden na drugim – nie ma tyle przestrzeni, żeby chłopcy mogli się swobodnie poruszać po tych pokoikach.

Kto trafia do tego domu?

Oprócz chłopców mamy też dziewczynki – mieszkają w innej lokalizacji. A trafiają sieroty i półsieroty. Najmłodszy – Junior, który ma cztery lata, czyli jest o dwa lata młodszy od mojego syna – przebywa w sierocińcu od trzech lat. Ktoś podrzucił go pod drzwi sierocińca, kiedy miał niespełna rokzek.

To nie zawsze jest tak, że rodzice umierają? Zdarza się, że porzucają dzieci?

Zdarza się i tak, i tak. Ścierają się tam takie dwa



paradoksalne nurty. Jeden, który sugeruje, że bliższa i dalsza rodzina powinna się opiekować dzieckiem, i drugi, w którym ludzie z łatwością wchodzą w nowe związki i nie czują odpowiedzialności za dzieci, które narodziły się wcześniej, i je porzucają. Najczęściej porzucającym jest mężczyzna, który zostawia kobietę z kilkorgiem dzieci, a ta często sobie nie radzi. Nie ma tam żadnej opieki socjalnej.

I kiedy wiąże się z nowym partnerem, porzuca dzieci, które ma z poprzednim?

Oczywiście to nie jest reguła, ale często jest tak, że przymuszona sytuacją szuka dla tych dzieci jakiejś opieki, i często one trafiają do sierocińca.

To jest uwarunkowane bardziej kulturowo, czy ekonomicznie?

Wydaje mi się, że ekonomicznie.

Wracając do sierocińca – jak wygląda zwykły dzień w tym miejscu?

Byliśmy tam w czasie, kiedy chłopcy chodzili do szkoły. Wstawali o wpół do szóstej. Najwcześniej wstawał opiekun i najstarszy – dziewiętnastoletni – Eric, który pomagał przygotować dzieci i wysyłał je do szkoły. Dzieci myją ręce i buzie, zakładają mundurki i buty, w których muszą iść do szkoły.

Przed wyjściem jedzą taką kaszkę – oni to nazywają maize albo posho, a przypomina ona kaszkę mannę. Potem idą do szkoły, z której wracają około siedemnastej, czyli stosunkowo późno. Ściągają mundurki i od razu je piorą, żeby były czyste na następny dzień. I idą grać... Ashirafu – ich opiekun – dba o to, żeby przez cały czas były zajęte.

Żeby nie przychodziły im głupoty do głowy?

Oczywiście też, choć – jak to z dziećmi – czasem przychodzą. Ale sport ma wpłynąć na wychowanie i socjalizację dzieci. Chłopcy codziennie przez półtorej godziny grają w piłkę nożną. Za boisko, a właściwie klepisko, też trzeba płacić. Wracają, myją ręce i jest główny posiłek. Najczęściej składa się z ziemniaków i sosu zrobionego z tłuszczu i odrobiny mleka. Uczą się i odrabiają zadania domowe, dopóki jest jasno. Na równiku ciemno robi się stosunkowo szybko, a jest ogromny problem z dostępem do prądu...

W Wikipedii przeczytałem, że dziewięćdziesiąt procent domostw nie ma dostępu do prądu...

Tam teoretycznie prąd jest – są kable i cztery żarówki – ale w praktyce często są przerwy w dostawie i tak naprawdę przez większość dnia prądu

nie ma. Często uczestniczyliśmy w takich zabawach po kolacji – chłopcy siedzą po ciemku na betonie i starsi zadają młodszym zagadki, albo uczą ich liczyć, albo śpiewają dla siebie. To jest dla nich forma rozrywki, ale też sposób na to, żeby ćwiczyć umysł i korzystać z wiedzy starszych chłopców.

Z tego co mówisz: skoro jest chłopiec czteroletni, i jest dziesiętnolatek, to właściwie pod jednym dachem żyje cały przekrój wiekowy dzieci i młodzieży? To powoduje jakieś konflikty?

Też tak myślałam. Ja mam jedno dziecko i często sobie z nim nie radzę. Zastanawiałam się, jak młody człowiek – Ashirafu ma dwadzieścia siedem lat – jest w stanie zapanować nad taką grupą dzieci. Jest tam dyscyplina, ale nie była to dyscyplina, która w jakiś sposób mnie zaniepokoiła. Jestem bardzo wrażliwa na punkcie tego, jakie relacje budują nauczyciel i opiekun z dziećmi. Ale tam widziałam, że dzieci po prostu wiedzą, co robić. Na przykład, kiedy był wydawany posiłek, naturalnym było to, że pierwsze w kolejce były te najmłodsze skrzaty, ponieważ one mają ograniczoną cierpliwość i musiały zjeść pierwsze. Wszyscy stali w kolejności, bez przepychania. W ciszy i pokorze zjadali posiłek. Po posiłku każde dziecko – nawet najmniejsze – oplukiwało naczynie z którego jadło. Dzieci o siebie dbają. Na przykład, kiedy idą na boisko i wydawany jest sprzęt – czyli dwie piłki i koszulki – wszystko jest zapisywane.

Przywieźliśmy materiały do szkoły i mieliśmy syndrom Świętego Mikołaja, żeby wszystkim rozdać. Na to Ashirafu mówi: „Spokojnie, Kate, rozdaj każdemu po jednej sztuce. Jak zużyje ołówek, i pokaże, że jest zużyty, wtedy wydam kolejny”. Czyli jest też ogromny rozsądek w dysponowaniu tymi skromnymi środkami, które mają. Ale dzieci są też nauczone szacunku do siebie, szacunku do przedmiotów. Nie widziałam tam żadnych kłótni, przepychanek, rękoczynów. Przeciwnie – na przykład przywieźliśmy balony, których dzieci nie widziały nigdy wcześniej. Najmłodszy – Junior – przebił swój balon i zaczął płakać. Natychmiast pojawiły się cztery pary rąk, które chciały mu oddać swój. Kiedy nie było prądu, i chłopcy robili dla nas przedstawienie – recytowali swoje wiersze albo śpiewali piosenki – najstarszy Eric, z malutką latareczką, sprawdził zadania domowe młodszych dzieci. To mnie tak rozczuliło, że my siedzimy i staramy się bawić, chociaż to nie było proste, a on miał w sobie ogromną odpowiedzialność za młodszych chłopców. Robił po prostu to, co do niego należy. Tam każdy wie, co do niego należy. Przerazające było to, jak obserwowaliśmy taką bezbrzeżną biedę, ale też niezwykłą głębię relacji, uważność na drugiego człowieka.

Jak tak cię słucham, mam déja vu. Podobnie ten świat sierocińca opisywała Agnieszka Rujner-Markowska, kiedy rozmawialiśmy o buddyjskim klasztorze w Katmandu, w którym dwaj mnisi opiekowali się stu czterdziestoma osieroconymi i porzuconymi chłopcami. Tam też była konieczna dyscyplina, kolejność wydawania posiłków, organizacja czasu, żeby ten świat funkcjonował w miarę sprawnie.

Podziwiam Agnieszkę za jej działania. Robi niezwykle rzeczy. Wydaje mi się, że dyscyplina jest potrzebna, ale wiem też, że nasze dzieci mogą liczyć na czułość. I to też mnie uspokaja, że jest nie tylko dyscyplina, ale są też emocje i dobre relacje z opiekunami.

Jak w tym świecie radzą sobie najmłodsze dzieci, które najbardziej potrzebują czułości, dobrych emocji, przytulenia?

Trudno mi sobie wyobrazić taką sytuację, bo przekładałam ją na moje dziecko. Nie widzi mnie tak często, jakbym chciała żeby mnie widziało, ale potrzebuje czułości, wtulania się, trzymania za rękę, śpiewania, czytania. I jak myślę sobie o tych dzieciach, które zasypiają właściwie wtulone jedno w drugie, to wyobrażam sobie co czują i jakie mają niezaspokojone potrzeby.

Czego się uczą w szkole?

Uczą się trochę innych przedmiotów niż my. Regularnie dostają screeny świadectw szkolnych, z których – szczerze mówiąc – nie wszystko rozumiem. Są w języku angielskim. Podstawowe przedmioty, to science – nauka, w której mają elementy chemii i fizyki, matematyka – królowa nauk w Ugandzie... Pytałam, czy następnym razem mam przywieźć kalkulatory. Ashirafu był prawie oburzony: „Nie, Kate, dzieci muszą wszystko liczyć w głowie”. Mają jeszcze język angielski... W sumie tylko pięć przedmiotów.

Ale te przedmioty są bardziej rozbudowane, niż te nasze rozłożone detalicznie?

Nie. Wydaje mi się, że ta wiedza jest bardzo ogólna, aczkolwiek w matematyce chłopcy są biegli.

Jaka czeka ich przyszłość? Co mogą robić na miejscu? Mogą nauczyć się zawodu, żeby wyrwać się z tego zaklętego kręgu?

Liczymy na to, że się wyrwą. Najstarszy z chłopców – Eric – dzięki wsparciu życzliwych osób mógł pójść na studia. Kiedy zapytałam go jakie ma marzenie, najpierw odpowiedział, że chciałby, żeby najmłodsze dzieci miały ubrania. A kiedy zapytałam jakie jest jego największe marzenie, odpowiedział, że chciałby studiować. Zapytałam: co? Odparł, że



chciałby być nauczycielem historii. Gdyby taka odpowiedź padła w Polsce, pewnie towarzyszyłaby jej salwa śmiechu. On ma takie marzenie, żeby skończyć studia i uczyć inne dzieci, a takim jego największym, największym marzeniem jest być jak Ashirafu – ich opiekun. Chciałby mieć sierociniec i opiekować się kolejną sześćdziesiątką dzieci. I właśnie na to liczymy, że to będzie takie perpetuum mobile: chłopcy będą pomagać sobie nawzajem. Oni mają świadomość, że jedynym sposobem, żeby przerwać ten krąg biedy, niedostatku, jest edukacja. Doceniają też to, że mogą się uczyć, bo nie każde dziecko w Ugandzie ma taką możliwość. Chcą robić różne rzeczy. Część marzy o tym, żeby być piłkarzami – jak wielu chłopców w ich wieku. Część bardzo dobrze zna się na uprawie roślin i chcieliby pracować w rolnictwie. Część chciałaby być nauczycielami. Część chciałaby pracować w budownictwie. Marzenia mają różne, ale mają też świadomość tego, że będą musieli całe życie ciężko pracować.

Kilka razy pojawiło się imię Ashirafu...

To jest dwudziestosiedmioletni opiekun chłopców. Oprócz niego jest jeszcze Jowelia – też młoda dziewczyna – która przez cały dzień zgięta w pół do ziemi gotuje posiłki na samochodowej feldze, na której stoi wielki gar. To są ogromne ilości

jedzenia. Regina, która była z nami, chciała pomóc Jowelii obierać ziemniaki. Noże były tak tępe, że równie dobrze można było obierać łyżką. Ta młoda dziewczyna ma bardzo zniszczone ręce, bo przygotowanie takiego posiłku to jest ogromny wysiłek fizyczny.

Ashirafu to jest człowiek, który był dla nas zagadką. Do Ugandy poleciliśmy właściwie po to, żeby się przekonać, że on faktycznie istnieje. Łączaliśmy się przez internet, widzieliśmy go, ale w internecie można wykreować fałszywe wyobrażenie z wielką łatwością. Wiele osób wykorzystuje tragedię dzieci do różnych celów. Musieliśmy mieć absolutną pewność, że dzieciom nie dzieje się krzywda, że faktycznie jest ktoś, kto się nimi opiekuje. Kiedy zobaczyliśmy na żywo, jak chłopcy się do niego tulią, jaki jest dla nich dobry, że je ostatni, że wstaje pierwszy, że właściwie jedyny temat, który można z nim poruszyć, to są dzieci... Zna wszystkie ich historie, dba o nie, dba o ich leczenie, o edukację, chodzi od szkoły do szkoły, prosząc, by przyjęły chłopców bez konieczności opłacania czesnego...

W Ugandzie szkoły są płatne?

Są płatne i bezpłatne. W państwowych szkołach w jednej klasie może być sto pięćdziesięcioro dzieci, i ławki tylko dla części z nich. Nauczyciele często nie

docierają do pracy. Nauczyciel – w przeliczeniu – dostaje jakieś trzysta czterdzieści złotych pensji. Nawet w Ugandzie to są niewielkie pieniądze i w szkołach państwowych nauczyciele często ignorują swoje obowiązki. W szkołach prywatnych, gdzie trzeba płacić czesne, dzieci dostają dostęp do edukacji na wyższym poziomie. Dostają też posiłek – to też ważne. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Ugandy, powiedziałam do Ashirafu, że teraz chłopcy doczekali wakacji i będzie wielka radość. On spojrzał na mnie i mówi „Kate, tutaj wakacje to jest więcej problemów, bo w szkole dzieci dostają posiłek, a tak wszystko zostało scedowane na nas”. Więc to taka umiarkowana radość.

Dzieci uczą się w różnych szkołach – w zależności od wiedzy, od wieku i od zdolności, dlatego odwiedziliśmy kilka z nich. Rozmawialiśmy z dyrektorami, którzy chwalili się na przykład medalami czy pucharami zdobytymi przez „nasze” dzieci. Nasi chłopcy i dziewczynki są bardzo dobrzy w sporcie – w piłce nożnej, i wybitnie grają w szachy. Zdobywają nawet odznaczenia ogólnokrajowe.

Mówiłaś, że nowy dom chcecie zbudować nie tylko dla „waszych” dzieci, ale także dla innych. Rozumiem, że jest ich więcej...

Jest więcej. Obiecaliśmy sobie, że jak pojedziemy do Ugandy, nie będziemy płakać, ani nie będziemy pokazywać że w jakikolwiek sposób dotknęło nas to, co zobaczyliśmy...

I już pierwszego dnia się z tego postanowienia śmiałiście...

Nie było nam do śmiechu, ale staraliśmy się znajdować dobre strony sytuacji. Na przykład: budynek, w którym mieszkają dzieci, wynajmowany, jest w naprawdę kiepskim stanie. Myślę, że w Polsce byłby przeznaczony raczej na kurnik niż na miejsce do spania. I była tam taka bardzo ciężka, żelazna brama... Chciałam znaleźć jakiś dobry punkt tej sytuacji, i powiedziałam do Ashirafu, że cieszę się, że tu jest taka solidna brama, bo dzieci mają poczucie bezpieczeństwa, nikt się tutaj nie włamie ani ich nie napadnie... Kate – odpowiedział Ashirafu – ta brama nie ma chronić przed złodziejami, bo tutaj nie ma czego ukraść. Ta brama broni przed innymi dziećmi, które chciałyby być w sierocińcu, ale nie ma już dla nich miejsca.

Najgorsza część dnia, to jest moment, kiedy musi wieczorem ją zamknąć. Kiedy byliśmy wewnątrz, widzieliśmy w szparze pod drzwiami dziecięce rączki i oczy, które czekały na pomoc.

I to pokazało, że jest tam więcej dzieci, które potrzebują pomocy. Mam świadomość, że nie zbawimy świata, nie pomożemy wszystkim, ale uważam, że tej społeczności jesteśmy w stanie pomóc, że ten cel jest mierzalny i realny, i jesteśmy na tyle zdeterminowani, że absolutnie nie

zamierzamy się z tego wycofać. Tym bardziej, że w nowym sierocińcu planujemy zewnętrzną kuchnię, która będzie wydawała posiłki. Będą też sale lekcyjne, w których dostęp do nauki – może nie takiej regularnej i systemowej – będą miały dzieci ulicy. I liczę, że to pomoże. Widzieliśmy straszne rzeczy. Czteroletnią, bezdomną dziewczynkę, która nosiła na plecach półtorarocznego brata. To jest widok, którego się nie zapomina. Wiem, że moglibyśmy zamknąć oczy, powiedzieć, że nie damy rady, mamy za niskie pensje, za krótkie ręce, nie mamy znajomości. Świat się odwraca od takich historii, nikogo to nie wzrusza, tak samo jak nikogo teraz nie wzrusza tragedia w Jemenie. Argumentów, żeby nic nie robić, jest mnóstwo, ale nieszczególnie to na nas działa. Wiemy, że tym dzieciom można pomóc mądrze, dobrze, wychować je przez edukację i zaspokoić ich podstawowe potrzeby.

Skoro mówisz o zewnętrznej kuchni, o salach lekcyjnych dostępnych dla dzieci spoza domu, zakładam, że tę działalność też będziecie musieli sfinansować?

Idea jest taka, żeby to było perpetuum mobile. Ziemia, na której ma stanąć dom, to jest pięć hektarów, na których są już zasadzone ziemniaki irlandzkie, drzewa mangowca, które właśnie pierwszy raz owocują, jest posho, są orzeszki ziemne. Oni – opiekunowie – tę ziemię uprawiają. Nie dokończyłam mówić o opiekunach. Jest jeszcze Eric Magic, który jest jednym z najlepszych fotografów w Ugandzie. A żeby było ciekawiej – nie ma własnego aparatu.

I kiedy zaczną zbierać plony, będą mogli karmić nie tylko siebie, ale też innych?

Tak. Nie odcinamy się od pomocy, kiedy nowy dom już stanie, ale zależy nam na tym, żeby punkt ciężkości i odpowiedzialność przeszła na opiekunów. Przy takim zabezpieczeniu bytowym mogą skupić się na pozyskiwaniu środków na bieżące funkcjonowanie, na jedzenie. Sale można też wynajmować. Bo kiedy odbywają się rozgrywki szachowe – teraz oni będą mogli wynajmować salę i w ten sposób zarabiać.

Planujecie szkolenia albo tutoring dla opiekunów?

Wiesz, myślę, że to my moglibyśmy się od nich uczyć. To, co zobaczyliśmy, udowodniło nam, że to są bardzo szlachetni ludzie. Mieliśmy w sobie wiele podejrzeń, wiele scenariuszy, że to nie może być tak jak wygląda. I teraz musimy leżeć krzyżem...

Mam wrażenie, że to my powinniśmy się uczyć od tych opiekunów. Po pierwsze: poświęcenia. Po drugie: cierpliwości, konsekwencji i metodyki w działaniu. Po trzecie: uporu w dążeniu do celu i w działaniu w ekstremalnie trudnych warunkach. Łatwo jest pomagać, kiedy się coś ma. Ale ci ludzie

mają do zaoferowania wyłącznie swój czas, swoje serce i swoje umiejętności. I robią to najlepiej jak potrafią. Uważam, że „nasze” dzieci nie mogły znaleźć lepszych opiekunów.

Wracając do Ashirafu: skąd on się tam wziął?

Pochodzi z Budaki. Jego wujek – kiedy żył – opiekował się dziećmi. Jego mama opiekuje się dziewczynkami w jego rodzinnym domu. Mieszka tam chyba siedemnaście dziewczynek – też je odwiedzaliśmy. On opiekuje się chłopcami. To jest człowiek, który pomaganiem ma we krwi. Mówimy, że jego serce bije tylko dla dzieci. Nie chcę używać górnolotnych słów, ale mam wrażenie, że jest to rodzaj takiej „świeckiej świętości”. On nie myśli o tym, żeby założyć rodzinę, nie myśli o sobie. Obsesyjnie myśli o tym, żeby dzieci poszły do szkoły, chore dostały leki na czas... Część dzieci jest nosicielami HIV.

W tym roku też chcesz lecieć do Ugandy?

Chcieliśmy lecieć w czasie ferii zimowych, ale zabrakło nam pieniędzy. Planujemy podróż pierwszego sierpnia. Teraz już wiemy co jest potrzebne – wtedy to była dla nas podróż w kosmos: lecieliśmy w ciemno, ja pierwszy raz w życiu leciałam samolotem. Pierwsze dwadzieścia dziewięć godzin było trudne... Leciliśmy z Berlina do Kataru, z Kataru do Entebbe. I potem jeszcze kilka godzin jazdy samochodem do Budaki.

Za pierwszym razem działaliśmy intuicyjnie i zabieraliśmy to, co nam się wydawało, że przyda się dzieciom. Teraz planujemy zabrać dużo większy bagaż, żeby zabrać wszystko to, czego nie można kupić na miejscu: artykuły higieniczne, porządne moskitiery, latarki LEDowe, lampki solarne, chochle dla Jowelii, bo nie ma nawet tego – jedzenie nakładane drugim talerzem, parząc się przy tym. Zabrałibyśmy ubrania, książki w języku angielskim, bo chłopcy bardzo chcą czytać, a w całym sierocińcu jest tylko jedna książka o ptaszkach. Może kilka gazet, piłki, pompkę do pilek... Na pewno część rzeczy kupimy w Kampali, ale jak najwięcej chcemy zabrać z Polski.

Jak można wam pomóc?

Na różne sposoby. Można nas wesprzeć myślą i zrobić dobry uczynek dla świata...

Ale to nie pomoże w budowie sierocińca...

Można wpłacić darowiznę na konto Stowarzyszenia Nadzieja Dla Ugandy, albo na zrzutka.pl – Katarzyna Włodkowska i Regina Wojnicka – obie mamy zrzutki założone wyłącznie na ten cel.

Gdyby ktoś chciał przekazać książki, piłki...

Jak najbardziej może to zrobić – najłatwiej będzie skontaktować się bezpośrednio ze mną na Messengerze. Przydałyby się jeszcze ręczniki, ołówki, wkłady do długopisów...

Zeszyty?

Zeszyty są dość ciężkie i akurat je można kupić na miejscu, ale bardzo poważny problem jest z anglojęzycznymi książkami. I buty. Nie wiem ile będziemy w stanie przewieźć, ale wielkim skarbem w Ugandzie są buty – w każdym rozmiarze.

Jak to – już prawie dwuletnie – ugandyjskie doświadczenie wpłynęło na ciebie?

Szczerze?

Na to liczę.

Szczerze, to całkowicie sponiewierało moim jestestwem. Sporo zmieniło. Staram się nie marnować pieniędzy, nie kupować nowych rzeczy, jeżeli nie ma takiej konieczności. A te pieniądze, które mogę odłożyć i przesłać, są na pewno cenniejsze niż kolejna para butów. Pobyt tam uświadomił mi, że szczęście wcale nie jest uwarunkowane stanem posiadania. I chociaż to jest truizm, i teoretycznie wszyscy o tym wiemy, to wcale nie żyjemy według tego przykazania uważności, które mówi, że najbardziej istotna jest bliskość drugiego człowieka. Pobyt w Ugandzie uświadomił mi, że żyję – jakkolwiek dyskusyjnie to zabrzmie – w cudownym kraju, w kraju w którym państwo opiekuje się niechcianymi dziećmi, starszymi ludźmi, gdzie mam ciepłą wodę w kranie, mam prąd, i mam wszystko co jest niezbędne do tego, żeby być szczęśliwą. Nigdy nie miałam takiej potrzeby, żeby kolekcjonować rzeczy – mam stary samochód, telefon po którym widać, że najlepsze lata ma już za sobą. Mam świadomość, że rzeczy nie mają absolutnie żadnej wartości, chyba że są przekazane komuś, kto ich naprawdę potrzebuje.

Cztery miesiące po powrocie były straszne. W Ugandzie nie mogliśmy spać – bezmiar biedy, silne emocje, kołatanie serca... I taka paralizująca świadomość, że nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim. Chyba to najbardziej mnie przybiło – że tak dużo chcielibyśmy, a tak niewiele możemy. I zamiast skupić się na obszarze, który jest możliwy do zmiany, leżeliśmy wpatrzeni w sufit i mieliśmy poczucie ogromnej bezsilności. Chcemy zrobić wszystko, żeby połączyć tych, którzy mają, z tymi, którzy nie mają. Może się uda, że świat będzie trochę jaśniejszy.

A na twoich uczniów?

Uwielbiam ich.

Znasz ich już dwa i pół roku...

Myślę, że podobnie refleksyjnie. Na pewno nawiązali nowe znajomości, na pewno kształcą swoje kompetencje językowe. Ale to są rzeczy, które wydarzyły się przy okazji i przypadkiem, i wcale nie są najważniejsze. Na pewno wpłynęło na nich, bo mają podobne wnioski: nie mamy potrzeby, żeby posiadać, że mamy wystarczająco dużo, żeby być szczęśliwymi. Pytanie: czy jesteśmy?



Czytelnicy67 celebryją życie.

To rozkwitające, kiedy zima powoli oddala się na północ, a w naszej szerokości geograficznej znów robi się przyjemnie. Kiedy znowu chce się jechać nad jezioro, przystanąć w drodze i wystawić twarz do słońca, wciągnąć w nozdrza wilgotne, jeszcze pachnące Północą powietrze... I zapuszczać się tam, gdzie jeszcze nas nie było. Wąskimi drózkami tak daleko, jak tylko się da.

A kiedy wszystko mówi „zostań w domu”, znajdują dobre chwile on-line na www.magazyn67.pl. ;)

**To Wy inspirujecie!
Dzięki, że jesteście!**

Magazyn67 celebryuje życie z nimi

Pierwszy w regionie magazyn bez kryminałów, sensacji i polityki. W pełni autorski, celebryjący życie nad Gwda i Notecią, na Krajnie i północno-zachodnich pojezierzach. O ludziach, miejscach, podróżach, miastach, przyjemnościach życia w regionie, który dopiero czeka na odkrycie.

Uniwersytecki antytrawnik





Tylko pomyśl: idziesz do parku, w którym możesz usiąść na łące wśród traw i kwiatów żywcem wyjętych z wiejskiego krajobrazu. Kładziesz się pod drzewem i wpatrujesz w chmury. Tak po prostu. W „antytrawniku” – miejskim parku będącym zaprzeczeniem tego, jak do tej pory rozumiemy park: bez wypielęgnowanych trawników, wyznaczonych rabat i przyciętych żywopłotów. Taki park powstanie w tym roku w Pile, przy Kołobrzeskiej, na terenie Nadnoteckiego Ośrodka UAM.

Natura wraca do miast. Trend wyrósł w Europie Zachodniej, ale nieśmiało dociera i do nas. Łąki kwietne w centrach miast stają się normalnością. Teraz pora na parki i ogrody. Bo czy nie jest przyjemnie zatopić się w naturze nietkniętej ręką ogrodnika?

No, prawie nietkniętej, bo o ile natura ma być główną siłą rządzącą Ogrodem Naturowym w Nadnoteckim Instytucie UAM, to jednak człowiek odrobinę jej pomoże. – *Z jednej strony ogród ma komponować się z otaczającym krajobrazem – wyjaśnia dr Paweł Owsiany, dyrektor Nadnoteckiego Instytutu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Pile. – Z drugiej – będą w nim gatunki typowo ogrodowe, które kwitną, są miododajne, ładnie wyglądają. Przy czym myślimy tutaj o gatunkach, które mają swój urok w całym cyklu życiowym – od narodzin do śmierci. Żeby struktura, faktura, wygląd tej rośliny były interesujące przez cały rok – nie tylko kiedy kwitnie.*

I właśnie dlatego Ogród Naturowy ma być atrakcyjny przez cały rok – nie tylko wiosną i latem, ale także w okresie jesienno – zimowym. Roślinność, która się w nim pojawi ma być dostosowana do warunków siedliskowych: gleby, nasłonecznienia czy nawodnienia. To ostatnie ma być jak najbardziej naturalne – sztuczne nawadnianie będzie ograniczone do minimum. – *Dziesięć lat temu każdy chciał mieć wypielęgnowany trawnik – mówi dr Owsiany. – Dziś już niekoniecznie. Zobaczyliśmy, że wymaga pracy – nie chce nam się go kosić i pielęgnować. A poza tym, przy zachodzących zmianach klimatycznych, wymaga coraz mocniejszego nawadniania.*

Co więcej: rośliny z otoczenia Ogrodu mają być jego elementem. Oznacza to, że będą w nim rosnać także rośliny, które w zwykłych ogrodach zaliczane są do chwastów. Owszem, będą usuwane, ale w ograniczonym zakresie – na tyle, by nie zdominowały roślin będących zasadniczą „treścią” Ogrodu. Niektóre z nich zostaną nawet wprowadzone do ekosystemu, ale ma on zachować charakter kwiatowo – trawiasty.

Ogród Naturowy przy UAM na Kołobrzesckiej będzie miejscem dostępnym dla wszystkich. Będzie można się z nim także związać osobiście, zostawiając po sobie ślad dla przyszłych pokoleń. I tu do projektu dołączyło biuro pośrednictwa nieruchomości KZ Nieruchomości, które – wspólnie z partnerem projektu – Centrum Ogrodniczym Prima – zasadzi kilkadziesiąt młodych drzew. Każde z nich to efekt zobowiązania KZ Nieruchomości, które złożyło swoim klientom obietnicę zasadzenia drzewa za każdą przeprowadzoną transakcję kupna lub sprzedaży nieruchomości. – *Działając w Pile, czujemy się zobowiązani do uczestniczenia w życiu miasta* – mówi Marcin Zamojda, partner w KZ Nieruchomości. – *Zależy nam na jakości wspólnej przestrzeni. Pila to naprawdę ładne, zielone miasto. Byłoby idealnie, gdyby takim pozostało.*

W Ogrodzie przy Kołobrzesckiej pojawią się drzewa długowieczne: odmiany modrzewia, brzozy, grabu, lipy i klonu. Ich sadzenie będzie miało charakter ogólnodostępnej akcji. Ci, którzy otrzymają „swoje” drzewa, będą mogli nadać im imiona, zasadzić je dla upamiętnienia specjalnej okazji lub szczególniego człowieka – np. przodka czy narodzin dzieci.

Dosadzenie nowych gatunków będzie także okazją

do zwiększenia różnorodności gatunkowej w otoczeniu UAM – dziś w tym miejscu dominują sosny.

Ogród Naturowy powstanie w rejonie tzw. „Zakopanego” – części lotniska, w której znajdują się dawne strzelnice, zarządzanej przez UAM. – *Teren ma mieć również charakter edukacyjny* – mówi dyrektor Nadnoteckiego Instytutu UAM. – *Ogród będzie otwarty, dostępny dla mieszkańców, ale oczywiście ma służyć także studentom. Chciałbym, żeby jego funkcja edukacyjna zwiększała się z każdym rokiem – szczególnie ta związana ze zmianami klimatycznymi. A skoro chcemy oszczędzać wodę, będziemy promować gatunki odporne na suszę.*

Nadnotecki Instytut UAM już dziś zagospodarowuje deszczówkę. Budynek dydaktyczny został wyposażony w podziemne zbiorniki, do których trafia woda opadająca z dachu i z placu. Deszczówka wykorzystywana jest do podlewania roślin, a w razie potrzeby może być także wykorzystana do gaszenia pożaru.

Prace nad Ogrodem Naturowym rozpoczną się wiosną, od terenu najbliższej budynku Nadnoteckiego Instytutu.

W projekt wpisuje się także Pasieka Społeczno-Biznesowa planowana przez Fundację Pszczoła. Pszczoły, a także motyle, mają zresztą odgrywać w Ogrodzie znaczącą rolę.

I choć prace dopiero ruszą, plany idą dalej. – *Planujemy jeszcze staw kąpielowy* – mówi dr Paweł Owsiany. – *Choć dziś to raczej jeszcze marzenia. Plany na kolejne lata to także infrastruktura edukacyjna służąca najmłodszym.*

REKLAMA



Vermilion

Niepubliczne Przedszkole i Szkoła

**Niepubliczne przedszkole i szkoła
Nowatorskie podejście do metod nauczania**

ZAPISY

**Przedszkole 2,5-6 lat
Szkoła klasy 1-3**

Zapraszamy!

64-920 Pila, ul. Podchorążych 10

Sekretariat tel. 67 350 90 09

Dyrektor tel. 604 314 712

Sms Vermilion: 574-119-009

vermilion@onet.pl

vermivermilion.sekretariat@onet.pl

www.vermilion-pila.com

Vermilion: „Dziecko w świecie wysokich technologii”

Technologia na stałe wkroczyła w nasze życie. Statystycznie ludzie częściej wracają do domu po telefon, niż po portfel. Smartfon to obecnie podstawowe narzędzie pracy, centrum rozrywki – nasze okno na świat.

Fonoholizm (SPA, ang. Smartphone addiction) stał się powszechny. Jeżeli z uzależnieniem od telefonu borykają się osoby dorosłe z w pełni ukształtowanym systemem nerwowym – Jak radzą sobie z tym dziećmi, których układ nerwowy dopiero się kształtuje?

Jakie są konsekwencje wczesnej ekspozycji na technologię?

Dr David Hill – autor rekomendacji dla rodziców wydanych przez WHO (Światową organizację zdrowia) – wyznaje zasadę - „jeśli nie wiemy, czy coś jest dobre, a istnieją powody by uważać, że jest złe – po co to robić?”

A dowodów na to, że wpływ wczesnej ekspozycji na nowinki technologiczne ma negatywny wpływ na rozwój dziecka przybywa.

Obecnie w dorosłość wkroczyło pokolenie urodzone w latach 90-tych XX wieku, które jako pierwsze wychowywało się w świecie, gdzie technologia była już wszechobecna. Umożliwia to przeprowadzenie pierwszych rzetelnych badań dot. wpływu technologii na rozwój człowieka.

Badania rezonansem magnetycznym dzieci, które wychowują się obecnie w epoce wysokiej technologii wykazały - fizyczne zmiany w budowie i funkcjonowaniu mózgu – zmiany, które mogą być nieodwracalne i prowadzić do trwałych dysfunkcji.

Nie Autyzm, nie ADHD czy dysleksja – Może to telewizja?

W literaturze fachowej pojawia się określenie „autyzmu telewizyjnego”. Obrazy wizualne oglądane regularnie przez długi czas, nadmiernie stymulują prawą półkulę, zaburzając rozwój lewej półkuli - która odpowiada min. za naukę pisania, czytania i mowę. Wczesna ekspozycja na ekrany monitorów znacząco wpływa również na rozwój obszarów

odpowiedzialnych za emocje, odczuwanie empatii i kształtowanie podstawowych umiejętności społecznych.

Jak wychować dziecko na zdrowego i szczęśliwego dorosłego człowieka?

Jako rodzic kontroluj zarówno ilość czasu spędzanego przed ekranem, jak i treści, które ogląda dziecko.

Ile czasu przeznaczyć?

Nie wcześniej niż od 5 roku życia – maksymalnie godzin dziennie*.

Należy jednak pamiętać, że układ nerwowy dzieci kształtuje się średnio do 9 roku życia.

Technika przychodzi z pomocą!

Aby skutecznie kontrolować ilość spędzania czasu przed telefonem czy tabletem przez nasze dziecko jednocześnie mając wgląd w treści jakie ogląda - polecamy zainstalować na każdym urządzeniu aplikację do kontroli rodzicielskiej. Na rynku dostępnych jest coraz więcej narzędzi, które mają za zadanie ułatwić rodzicom sprawowanie kontroli. Aplikacje np. ScreenTime dają możliwość wyznaczania czasu + kontrolę dostępu do wybranych treści lub aplikacji. Dają też możliwość pozytywnej motywacji i wyznaczania zadań do wykonania w zamian za dodatkowe minutki.

Życzymy wytrwałości i konsekwencji. „Dziecko pójdzie za Twoim przykładem, nie radą” – więc może warto wyciągnąć grę planszową lub wyjść na rower? W końcu – idzie wiosna.

mgr Dominika Ślęk

Vermilion Niepubliczne Przedszkole i Szkoła

*Zalecenia WHO



Zrób test swojej altanie na odpady

Fot. Materiały prasowe Grupy Eneris

O ile ustawienie pięciu pojemników w mieszkaniach to indywidualna kwestia mieszkańców, o tyle dobra organizacja publicznego miejsca zbierania odpadów to już wspólna sprawa wszystkich korzystających z tych miejsc. Odpowiedz na kilka pytań i sprawdź, czy Twoja altana jest gotowa do segregacji na 5 frakcji!

Altana jako element zielonej infrastruktury

Altany to taki sam element małej architektury miejskiej jak ławki, lampy, trzepaki czy nawet place zabaw. Jednak to nie tylko architekci czy kierowcy i ładowacze śmieciarek są odpowiedzialni za wygląd i czystość altan.

– To administratorzy budynków odpowiadają za zamówienie wystarczającej liczby pojemników, wybudowanie altany, a wraz z mieszkańcami za utrzymanie



jej w porządku. Konieczna jest wspólna mobilizacja, inicjatywa i działanie w kierunku powstawania na pilskich osiedlach eko-altan: miejsc nowoczesnego segregowania odpadów – zachęca Tomasz Bielański, Dyrektor Generalny Altwater Piła.

Pierwszy w Polsce „Poradnik altankowy” – dla kogo, o czym, po co?

Zbudowanie funkcjonalnej altany okazuje się trudniejsze niż można przypuszczać. Wciąż niewiele jest dobrych praktyk, a

mieszkańcy czy administratorzy nie wiedzą, gdzie szukać wytycznych. Stąd pomysły na specjalny „Poradnik altankowy”, który zbiera ogólnopolskie doświadczenia członków Koalicji 5 frakcji, do której należą też Piła i ZM PRGOK.

– Prawo budowlane daje tylko ogólne wytyczne dotyczące umiejscowienia altan czy odległości od drzwi i okien. Dlatego w głównej mierze musimy oprzeć się na dobrych praktykach z polskich i zagranicznych miast oraz standardach typu BREEAM, wskazujących na wiele aspektów związanych ze zrównoważonym rozwojem – podkreśla Artur Łeszczyński Business Development Skanska Residential Development Poland Sp. z o. o.

– W poradniku opisujemy kompleksowo jak powinno wyglądać otoczenie zewnętrzne altan, a

także jej wnętrze. Podpowiadamy m.in. jak określić jej wielkość, konstrukcję, tak aby była dostępna zarówno dla mieszkańców, jak i pracowników firm komunalnych. Należy pamiętać, że projektując altanę należy wziąć pod uwagę nie tylko liczbę mieszkańców, ale też takie parametry jak wielkość pojemników czy częstotliwość odbioru poszczególnych frakcji – dodał Piotr Lewandowski z A8 Architektura.

Zrób test swojej altanie!

Autorzy Poradnika przygotowali zestaw pytań dotyczących naszej osiedlowej altany na odpady. W przypadku negatywnej odpowiedzi na większość pytań warto zastanowić się, czy może nie czas na modernizację i zwiększenie funkcjonalności naszego przyblokowego punktu zbiórki odpadów.

Przetestuj swoją altanę

Pytanie	TAK	NIE
Czy jest swobodny dojazd do altany dla śmieciarki (np. miejsce zabezpieczone przed parkowaniem samochodów)?		
Czy powierzchnia wokół altany jest utwardzona?		
Czy w altanie mieszczą się pojemniki na frakcje: papier, plastik, bio i odpady zmieszane?		
Czy pojemniki są w kolorach właściwych dla każdej z frakcji? (żółty, brązowy, niebieski, czarny)		
Czy jest wystarczająca liczba pojemników na odpady (nie wysypują się one poza altanę czy pojemnik)		
Czy do altany dostęp mają tylko mieszkańcy przypisanego bloku/klatki?		
Czy altana jest zadaszona?		
Czy budowa altany uniemożliwia dostęp do niej zwierząt lub ptaków?		
Czy altana ma monitoring?		
Czy altana jest oświetlona?		
Czy do altany mają dostęp osoby z niepełnosprawnością?		
Czy na altanie umieszczone są informacje dla mieszkańców na temat segregowania odpadów?		

Fakty i mity o systemie gospodarki odpadami

O ile podstawowy podział na frakcje wiele osób już zna, to jednak wciąż pojawia się wiele trudności z niektórymi odpadami produkowanymi w domach. Gdzie wyrzucić opakowanie po mleku, czy myć pojemniki po jogurtach, co zrobić ze starymi ubraniami? Co to jest PSZOK? Poradnik altankowy odpowiada na te i inne pytania, a także zawiera konkretne informacje dotyczące prawidłowego sortowania odpadów na 5 frakcji.

– W Poradniku zamieściliśmy tak zwany dekalog odpowiedzialnego postępowania z odpadami ze wskazówkami jak ograniczać ilość używanych produktów, na co zwracać uwagę podczas zakupów, w jaki sposób ponownie wykorzystać opakowania po produktach oraz jak przygotować odpady przed wyrzuceniem. Wymieniamy też konkretne odpady, które można wrzucać do określonego pojemnika i te, które nie powinny tam trafiać. W materiale znajdują się także fakty i mity o systemie gospodarki odpadami, gdzie wyjaśniamy wątpliwości m.in. na temat sensu segregowania, odkrywamy tajemnice śmieciarek dwukomorowych czy tzw. biodegradowalnych worków na odpady – podsumowuje Magdalena Sulek-Domańska, rzeczniczka prasowa Eneris.

Kontakt:

ALTVATER PIŁA



Altwater Piła

ul. Łączna 4a
64-920 Piła
tel. 67 212 33 58

www.eneris.pl

www.facebook.com/enerisPL/

Trendy 2020: lepsze życie



Fot. Fotolia

Wolniej, ciszej, bliżej, uważniej. Bo zmiany dokonują się na naszych oczach.

Wolniej

Zagoniliśmy się i ledwie dyszymy. Mamy projekty, targety, i wszystko na ASAP. Coraz mniej mamy za to czasu dla siebie. Ja wiem, trochę pachnie anarchizmem, trochę punk rockiem, ale zwolnienie tempa to dobry trend. Nieprzespanych nocy i niedospanych poranków nie odda nikt, a z czasem stają się nie do odrobienia i zaczynają przekładać się na gorsze funkcjonowanie, zmęczenie, nerwy, relacje i mniejsze możliwości w pracy. Nie bez powodu są biznesy (i to te duże – także w Polsce), które skracają tydzień roboczy do czterech dni, albo dzień roboczy do sześciu godzin. Też wiem – nie możesz. Ale spróbuj nie pracować po dwudziestej. :)

Bliżej natury

To naukowo udowodnione: sosna tworzy wokół siebie środowisko wolne od bakterii, zieleni pozytywnie wpływa na nastrój, a przewietrzenie głowy (i płuc) jest niezbędne do prawidłowego funkcjonowania. Nie bez powodu w Finlandii lekarze przepisują spacerować jako metodę „naprawy” zdrowia. Warunki ku temu w regionie mamy idealne – wystarczy wyjechać za miasto (choć w Pile nawet tego nie trzeba), by cieszyć się lasem. Spacer nad rzeką również poleca się uważnie.

Minimalistyczniej

Bo – tak szczerze – potrzebujesz tych wszystkich nowych gadżetów, żeby żyć szczęśliwie? Jasne, innowacje w domu i w zagrodzie bywają pomocne, ale gdzieś zdarza się ten moment, w którym innowacje niepostrzeżenie stają się gadzecznictwem, a pogoń za nowym modelem wszystkiego staje się nowym sensem życia. Bez sensu. To może w drugą stronę? Sprzedaż tego, co tak naprawdę kurzy się nieużywane i zbieranie doświadczeń i wspomnień? Lżejszy bagaż im sprzyja.

Oszczędniej

Bo skoro minimalistyczniej, to i oszczędniej – jedno wiąże się z drugim. Ale także zwracając uwagę na niemarnowanie jedzenia (kupujesz tylko tyle, ile zjesz), mniejsze zużycie wody i prądu (wylączasz i zakręcasz, kiedy nie używasz) i mniejszą produkcję odpadów. No i – oczywiście – więcej pieniędzy zostaje na podróż, doświadczenia i wspomnienia.

Słoneczniej

Choć słońca będziemy doświadczać coraz mocniej, i powinniśmy chronić siebie i środowisko przed jego nadmiernym działaniem, to nadal wystawienie twarzy na jego promienie jest darmową

przyjemnością. Zresztą nie tylko przyjemnością, ale tym, co poprawia samopoczucie. Czekamy!

Ciszej

Słowo – klucz: chill. Można chillować w towarzystwie, ale cisza to ta sytuacja, która pozwala zwolnić i usłyszeć siebie. Można słuchać ciszy w domu, w wygodnym fotelu. Można słuchać w lesie, nad jeziorem, nad morzem, w górach, na łące... Gdzie tylko chcesz. Wszędzie gdzie słychać NIC, usłyszysz siebie. Daj sobie tylko czas.

Słuchając

Bo skoro w ciszy słychać lepiej – dobrze wsłuchać się w siebie, ale także posłuchać, co mają do powiedzenia inni. Mogą z tego wyniknąć niespodziewane korzyści: ograniczenie grona przyjaciół o „przyjaciół”, nowe idee, nowe relacje... Słuchanie zamiast gadania także prowadzi do chillowania.

Ciesz się małymi rzeczami

Po co czekać na rzeczy wielkie, skoro można cieszyć się tymi zdecydowanie mniejszymi? Radość to

radość, i można jej doświadczać w codzienności. Wystarczy przystanąć, rozejrzeć się i chcieć dostrzec te małe rzeczy, które budują.

Będąc z ludźmi tu i teraz

Cisza to jedna strona, druga, to ludzie, z którymi jesteśmy blisko. A przynajmniej powinniśmy być. Nie ma co czekać, żeby powiedzieć komuś, że robi fajne rzeczy, robi coś dobrze, czymś inspiruje. Nie ma powodu, by czekać na otwartość. Nie ma powodu, by czekać z mówieniem tego, co buduje. Bo takie słowa mogą niespodziewanie zbudować nową, nieoczekiwaną relację.

Nie przyjmując, że wszystko jest raz na zawsze

Wręcz przeciwnie. Zmieniają się rzeczy, które wydawały się nie do ruszenia. Bo kto 20 lat temu myślał, że przyjdzie taka zima, w której nie będzie zimy, takie lato, w którym Noteć wyschnie, i taki czas, w którym klimat będzie bardziej przypominał ten na Bałkanach, niż ten w Skandynawii. A jednak – stało się to na naszych oczach. Okazuje się, że nie ma na Ziemi rzeczy, które nie mogą się zmienić, i ten fakt możemy przyjąć jako fundament myślenia o przyszłości – bliższej i dalszej.

REKLAMA

OSM
CZARNKÓW

Dzieci je lubią!



OSM Czarnków
ul. Kościuszki 105
64-700 Czarnków
tel. 67 255 28 11
www.osmczarnkow.pl



VIVO! Piła miejszem przyjaznym lokalnym przedsiębiorcom

Wynajem wyspy w centrum handlowym można porównać z kosztami wynajęcia niewielkiego sklepu w centrum miasta, nic więc dziwnego, że coraz więcej małych biznesów decyduje się na takie rozwiązanie. Lokalni przedsiębiorcy mają szansę na dotarcie do zorientowanych w bieżących trendach klientów, a centrum handlowe do rozszerzenia i uatrakcyjnienia swojej oferty. W VIVO! Piła z powodzeniem działają punkty prowadzone przez rodzimych najemców, a nawet punkt prowadzony przez spółdzielnię socjalną.



Fot. Zbigniew Komorowski

Centra handlowe kojarzą się z największymi markami międzynarodowymi, ale to również dobre miejsce dla lokalnych przedsiębiorców do prowadzenia swoich biznesów. Kiedy w październiku 2014 roku otwierano się VIVO! Piła, wielu mieszkańców regionu ucieszyło się z kolejnego punktu na mapie, oferującego największe modowe marki. W pierwszych dniach VIVO! odwiedziło blisko 200 tysięcy osób, co tylko potwierdziło potrzebę istnienia kolejnego dużego centrum handlowego w regionie. Na 24 tysiącach metrów kwadratowych

powierzchni handlowej ulokowało się 70 sklepów, punkty usługowe i gastronomiczne. Tym, co wyróżnia i przyciąga do obiektu od samego początku są też ciekawe wydarzenia. Bardzo dużą popularnością cieszą się weekendowe wydarzenia dla dzieci, eventy edukacyjne oraz akcje tematyczne, np. obchody Dnia Kobiet czy Walentynki. Zarządcy galerii handlowej włączają się w życie lokalnej społeczności również poprzez regularne organizowanie ważnych społecznie akcji, m.in. „Rozświetlamy Jesień” o bezpieczeństwie rowerowym czy „Paczka dla hospicjum” o charakterze charytatywnym.

Nowe możliwości dla lokalnych biznesów

Dogodna lokalizacja VIVO! Piła – w pobliżu stacji kolejowej i dworca autobusowego – a także bardzo dobra infrastruktura drogowa sprawiły, że grono potencjalnych klientów znacząco się powiększyło. Przedsiębiorcy wraz z otworzeniem swoich punktów w VIVO! zyskali niepowtarzalną szansę dotarcia ze swoją ofertą nie tylko do pilan, ale i mieszkańców ościennych miejscowości. Mitem jest to, że lokalne marki i duże rozpoznawalne sklepy nie mogą współdziałać i korzystnie na siebie oddziaływać. Te drugie przyciągają klientów generując spory ruch potencjalnych, nastawionych na zakupy konsumentów również dla lokalnych sprzedawców.

W większości właściciele małego biznesu decydują się na wynajęcie wysp handlowych. Czynsz za tego typu miejsce, w zależności od rodzaju prowadzonej działalności waha się między kilkaset złotych do paru tysięcy. Drugą formą aktywności lokalnych biznesów w VIVO! jest prowadzenie salonów pod szyldem popularnych marek, czyli franczyza.

- Od początku naszego istnienia realizujemy strategię współpracy z lokalnymi partnerami i wspierania niszowych, a także dopiero rozpoczynających swoją działalność marek. Na terenie naszego centrum handlowego działają również franczyzobiorcy i spółdzielnia socjalna. Dzięki nim nasza oferta sprzedażowo-usługowa jest ciekawa i zróżnicowana, a także trafia w oczekiwania mieszkańców regionu - mówi Magdalena Drzewiecka, Center Manager VIVO! Piła.

Lokalni przedsiębiorcy decydując się na prowadzenie swoich sklepów czy usług w VIVO! zyskują nie tylko możliwość dotarcia do szerokiego grona klientów, ale również bardzo dobre zaplecze infrastruktury obiektu.

Kontakt:



Vivo! Piła

ul. 14 Lutego 26

64-920 Piła

www.vivo-pila.com



Oswoić zazdrość

Pojawia się mimowolnie, w najmniej oczekiwanym momencie. Budzi złość, rozbija związki, niszczy dobre relacje. Rozmowa z dr Moniką Kłós miała skończyć się na zazdrości, ale niespodziewanie zesłała na związki...

W swojej praktyce często spotykasz się z takim zjawiskiem, że ktoś sobie nie radzi z tym, że komuś idzie lepiej? Albo odwrotnie: ktoś sobie nie radzi z zazdrością drugiej osoby o jego sukces?

Często. Chociaż chyba częściej to jest moje wrażenie, niż sytuacja w której ktoś się do tego przyznaje.

Myślisz, że faktycznie częściej to jest nasze wrażenie?

Dopóki ktoś nam powie, że coś czuje lub nie czuje – bo zazdrość jest pewnym odczuciem – tak naprawdę nie wiemy. Domyślamy się, mówimy, że mamy wrażenie po słowach, po czynach, że ktoś faktycznie czegoś zazdrości.

Ale do zazdrości trudno się przyznać.

Myślę, że trudno przyznać się do zazdrości, bo społeczne przekonanie nakazuje nam nie zazdrościć. W związku z tym często wypieramy to uczucie, mimo że tak właśnie czujemy. Być może mamy wewnętrzny dylemat moralny, że zazdrościmy, ale wstydzimy się przyznać – zarówno przed sobą, jak i powiedzieć o tym głośno.

W biznesie też tak się zdarza?

Skoro jest to naturalne odczucie człowieka, a człowiek prowadzi biznes, oczywiście, że tak się zdarza. Tak się zdarza w każdym obszarze. Ale warto pamiętać, że to jest nasze naturalne odczucie. Lepszym sposobem radzenia sobie jest zaakceptowanie tego stanu i szukanie przyczyn – zarówno samej zazdrości, jak i pojawiania się słów związanych z zazdrością – niż udawanie, że nic się nie dzieje.

Tyle teoria. W praktyce przez zazdrość psują się przyjaźnie, związki, relacje – również te biznesowe.

Psują się, ponieważ zazdrość – ta negatywna, której konsekwencją są zachowania destrukcyjne, nieżyczliwe, czy frustracja – wpływa na psucie relacji. Tak mamy naturalnie: mózg jest predysponowany do przyjmowania rzeczy negatywnych szybciej niż pozytywnych. Jest to uwarunkowane ewolucyjnie. Nasi dalecy przodkowie musieli radzić sobie z niebezpieczeństwami. Byli nastawieni na szybkie odnajdywanie niebezpieczeństwa, rozpoznawanie go i reagowanie na nie. Reakcja to dwie strategie, które

my dziś też podejmujemy: atak lub ucieczka. W czasie stresu odpalają nam się dwa neuroprzekądniki: albo adrenalina, która mówi „atakuj, działaj”, albo kortyzol, który mówi „uciekaj, chowaj się”. Dzisiaj, mimo że te pierwotne zagrożenia nie czyhają na każdym rogu, nasz organizm reaguje tak samo: w pierwszej kolejności, we wszystkim co się dzieje, zaczyna doszukiwać się często nieracjonalnych rzeczy, czyli czegoś co się wydarzy, choć się nie wydarzyło, albo nie wiemy czy się wydarzy.

Powiedziałaś o stresie. Zazdrość w jaki sposób wiąże się ze stresem?

Zazdrość negatywna. Warto powiedzieć o tym, że zazdrość to jest odczucie, które jest w nas, które bierze się z potrzeby posiadania czegoś co jest w otoczeniu – także tego, że ktoś ma inną umiejętność, talent, wiedzę. Naturalnie mamy tak, że obserwując to i dostrzegając to, widzimy u siebie pewnego rodzaju braki, albo potrzeby, które często są wykreowane na skutek obserwowanych zjawisk, a niekoniecznie wynikają z naszego wnętrza. Sama zazdrość jest naturalnie rozwojowa w naszym organizmie. Ona pokazuje czego potrzebujemy, a czego nie. Natomiast ta, która przeraża się w różnego rodzaju zachowania wobec konkretnej osoby, postawy agresywne lub uległe, jest zazdrością negatywną – tą, która powoduje zniszczenia. Najczęściej powoduje zniszczenia osoby, która tę złość okazuje. W związku z tym na pewno w jakimś stopniu jest związana ze stresem, bo najczęściej negatywna zazdrość jest wynikiem pewnej frustracji, że nie zaspokoiłmy potrzeb, które chcieliśmy zaspokoić.

Czyli pozytywna zazdrość może prowadzić do rozwoju?

Tak. W momencie, kiedy mamy pozytywną zazdrość – dziś mówimy o tym, żeby doceniać, zarówno to co mamy sami, ale także gratulować, cieszyć się z tego, co przydarza się innym osobom – tak, ponieważ jeżeli będziemy postępować w ten sposób – doceniać, skupiać się na tym, co dobrego wynika, wspierać w szczęściu, dzielić się pewnymi rzeczami – powinniśmy naturalnie dostrzec, jakie są naprawdę nasze potrzeby. Wtedy może się okazać, że ktoś coś osiągnął, ale tak naprawdę ja tego nie potrzebuję, bo nie marzyłam o tym samym. Przecież wszyscy nie marzymy o tym samym, nie potrzebujemy tego samego. Czyli to, że komuś się powiodło, że ktoś coś uzyskał, nie oznacza, że ja też tego potrzebuję. Nie muszę mu tego zazdrościć.

Czyli oczyszczenie?

Dokładnie: pewnego rodzaju oczyszczenie.

A jak sobie radzić w sytuacji osoby, której się powiodło, i której ktoś bliski tego powodzenia zazdrości. Negatywnie.

Na pewno warto o wszystkim rozmawiać i pytać co jest pod spodem tej zazdrości, czy tych negatywnych odczuć.

67

MAGAZYN
NAD GWDĄ I NOTECIĄ

Wie gdzie w regionie
sosny pachną
najpiękniej

także na

www.magazyn67.plwww.facebook.com/Magazyn67/

Ale nikt nie odpowie na tak postawione pytanie: „co jest pod spodem?”

Tego nie wiemy, dopóki nie zapytamy. Czasami jest tak, że nie pytamy, bo myślimy, że ktoś nie odpowie. A osoba zapytana może być zaskoczona, że pytamy. Jeżeli przedstawimy, że to jest istotne dla naprawienia naszej relacji – bo ona się psuje z tego powodu – być może jest to dobry motywator do udzielenia odpowiedzi. Natomiast nie jesteśmy w stanie zrobić czegoś za kogoś. Jeżeli ktoś zazdrości nam, albo jedna bliska osoba zazdrości drugiej, to jest to wielkie ryzyko dla tej relacji. Dlatego jeżeli obydwu osobom zależy, żeby relacja była OK, musi być oczyszczenie. Naturalnie każda negatywna zazdrość jest początkiem zepsucia relacji.

Często potocznie mówimy „toksyczny człowiek”, „toksyczna relacja”. Warto sobie uświadomić, że obecnie mówimy o tym, że depresja jest chorobą naszego wieku. Natomiast są wśród nas osoby, które nazywamy „toksycznymi”. W psychologii są to osoby, które są diagnozowane jako te, które w sztuczny sposób budują swój dobrostan wewnętrzny na podstawie tego, że dokuczają innym osobom pośrednio jak i bezpośrednio. Są to zarówno komunikaty werbalne, jak i niewerbalne, zachowania, postawy... Te osoby najczęściej myślą o sobie, że są OK, że to co robią jest w porządku, że to nawet w jakiś sposób pomaga osobom, które są nękanie czy prześladowane. Postawy tych osób, które ulegają różnego rodzaju słowom, sarkazmowi czy zachowaniom, umacniają osoby toksyczne w tym, że ich zachowanie jest OK. Należy natomiast pamiętać, że wszelkiego rodzaju zachowania agresywne osób „toksycznych” wynikają głównie z niskiego poczucia własnej wartości. Pod spodem z reguły kryje się strach, lęk, jakaś taka „niefajność” związana z oceną własnej osoby. Te osoby – może się to nam wydawać dziwne i niezrozumiałe – dodają sobie wartości przez to, że fizycznie czy słownie są silniejsze od pozostałych osób.

Warto pamiętać o tym również w kontekście relacji. Może to być szef w pracy, inna koleżanka lub kolega w miejscu pracy, może to być partner lub partnerka. I nie jest jednoznacznie stwierdzone, że z reguły to mężczyźni są bardziej toksyczni niż kobiety. Jest taki stereotyp, że mężczyźni z racji większej ilości testosteronu, siły fizycznej, jest tym, który



Monika Kłós

Doktor nauk ekonomicznych. Prywatnie szczęśliwa mama 14-letniej Julki, kochająca książki i podróże. Zawodowo: nauczyciel akademicki, dyplomowany coach, trenerka biznesu (w tym licencja STRUCTOGRAM®), popularyzatorka neuronauk, autorka wielu publikacji z zakresu zarządzania zasobami ludzkimi.

częściej uprawia przemoc – i fizyczną, i psychiczną. Okazuje się, że nie. Badania pokazują, że to nie zależy od płci, a od osobowości. Ta sama osobowość może zachować się różnie w zależności od sytuacji. Nasze zachowania i postawy są sytuacyjne, w związku z czym trudno powiedzieć zerojedynkowo, że jedna płeć jest taka czy inna. Natomiast – nawiązując do zazdrości w związkach partnerskich – często mówimy, że kobieta jest zazdrosna o mężczyznę czy odwrotnie. I to jest dobry przejaw. Oczywiście, zazdrość jest dobra do pewnego momentu. Jeżeli ona jest wewnętrznym odczuciem, że interesuje mnie to, że ktoś interesuje się moją kobietą czy moim mężczyzną, ale to odbywa się na poziomie „interesuje mnie to”, czyli zależy mi na tej osobie. To jest normalne uczucie, którego nie ma co się wstydzić. Natomiast wszelkie zachowania, które powodują, że wymuszamy, zakazujemy, zabraniamy, stawiamy ultimatum „nie pójdziesz”, „nie zrobisz”, „przestań coś robić”, są toksyczne. Tu powinna zapalić się czerwona lampka, że coś trzeba z tym zrobić.

Dobry moment, żeby sięgnąć po poradnictwo?

Na pewno poradnictwo. Może być równoległe lub w parze. Często warto prowadzić je równoległe, bo nie zawsze wszystko chcemy powiedzieć przy

partnerze. Każdy człowiek musi mieć swoją sferę intymną, każdy z nas ma sekrety ukryte głęboko w sercu. I to też jest normalne. Spotykam się z takimi opiniami, że jeżeli czegoś nie powiem partnerowi, to mu nie ufam. Nie, to znaczy, że każdy potrzebuje mieć dla siebie kawałek intymności. I to trzeba też uszanować. To nie jest tak, że „jak mnie kochasz, to mi powiedz wszystko”.

I miejmy wspólny profil na Facebooku...

I wspólne konto banku, i skrzynkę mailową. Nie, wcale nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby budować zaufanie do siebie, i żeby każdy miał własną sferę intymną.

A wracając do zazdrości... Może też pomóc zmiana perspektywy – terapia z obcą osobą, która spojrzy na nas z zewnątrz. Myślę, że dobrą praktyką w temacie zazdrości, zawiści, toksycznych relacji, może być docenianie drobnych rzeczy każdego dnia. To jest dobra praktyka, bo w ten sposób możemy zacząć zmianę nastawienia: zamieniać złość, która pojawia się u nas naturalnie, i nikt się jej nie wyzbędzie, na pozytywną zazdrość. Warto zacząć od doceniania tego, co mam na co dzień i pójścia w kierunku „czy faktycznie mam taką potrzebę jak ta druga osoba”. Fajnie, że ktoś skończył trzeci kierunek studiów, ale czy ja tego potrzebuję?

REKLAMA



Piła, Pl. Zwycięstwa 17
tel. 67 344 10 20

BARTOSZ STAWIŃSKI
AUTORYZOWANY
SPRZEDAWCA MARKI

Dior

● LEKARZE OKULIŚCI

- BADANIE WZROKU
- SZEROKI ASORTYMENT OPRAW
- SZKŁA NAJLEPSZYCH PRODUCENTÓW
- PORADY STYLISTY

SERDECZNIE ZAPRASZAMY DO NASZYCH POZOSTAŁYCH SALONÓW:

Czarnków, Pl. Wolności 1 | tel. 344 11 12

Chodzież, Rynek 11 | tel. 67 344 20 02

Rogoźno, ul. Kotlarska 5 | tel. 67 344 19 19

Krzyż Wielkopolski, ul. Poznańska 1a | tel. 67 344 16 17

Jak wybrać zawód, który nie zawiedzie



Fot. Chroma Stock

Szkoła zawodowa to dobry wybór – przekonuje Centrum Wsparcia Rzemiosła, Kształcenia Dualnego i Zawodowego w Pile. Uczeń zaczyna zarabiać już w pierwszej klasie, a po trzech latach nauki ma pracę. Dzięki temu szybko staje się samodzielny, a przez niedobór fachowców na rynku pracy, zarobki są naprawdę atrakcyjne.

Były gorące lata dziewięćdziesiąte. Wolny rynek, wolny handel, biznes rozkwitający na każdym rogu ulicy. Białe kołnierzyki, braki kadrowe w zawodach, których wcześniej nie znaliśmy z jednej, i rosnące bezrobocie wśród tych, których gospodarka rynkowa postawiła na marginesie – z drugiej strony. Wyższe wykształcenie wydawało się wtedy obietnicą lepszego życia dla każdego, więc na studia – obojętnie jakie – chciał iść każdy. Szkolnictwo zawodowe siłą rzeczy zostało ograniczone. Bo kogo uczyć, skoro brakuje chętnych?

Czwierć wieku później ten sam wolny rynek boleśnie weryfikuje tamte pomysły na życie. Ten, kto wtedy poszedł pod prąd i postawił na kształcenie

zawodowe, dziś może czuć się zwycięzcą. Fachowców od – często – nienajczystszej roboty brakuje na rynku. Mniejsze zainteresowanie kształceniem zawodowym okazało się dopiero początkiem. Na nie nałożyły się kolejno: niż demograficzny, otwarcie zagranicznych rynków pracy, a ostatnio coraz częściej przechodzenie na emeryturę „starych” fachowców... Efekt widzimy na rachunku za naprawę samochodu, montaż instalacji elektrycznej, tort na czterdzieste urodziny i tysiące innych produktów i usług. Bo kiedy brakuje specjalistów, ci którzy zostali – no cóż – mogą podnieść ceny, skoro nie nadążają z realizacją bieżących zleceń. I nie ma w tym nic złego.

To co jednak wydaje się rynkowym problemem,

dla młodych ludzi może okazać się zawodową szansą. Bo skoro są branże, w których brakuje specjalistów, ci którzy są – odchodzą z uwagi na wiek, z nowymi kadrami jest problem, a wynagrodzenia rosną... – Według „Barometru Zawodów” dla pięciu powiatów subregionu Północnej Wielkopolski, w tym roku pracę bez problemu znajdują osoby z wieloma specjalizacjami technicznymi – mówi Ewa Krupka-Zaręba, dyrektor Centrum Wsparcia Rzemiosła, Kształcenia Dualnego i Zawodowego w Pile. – To między innymi ślusarze, elektrycy, elektromechanicy, elektrycy, operatorzy i mechanicy sprzętu do robót ziemnych, czy spawacze.

Ale lista zawodów, w których w regionie Północnej Wielkopolski brakuje „świeżej krwi”, jest znacznie dłuższa. To także kierowcy autobusów i ciężarówek, magazynierzy, czy osoby z wykształceniem z obszaru zdrowia: opiekunowie osób starszych i niepełnosprawnych, pielęgniarki i położne, psychologowie i psychoterapeuci oraz lekarze.

Na problem z wymianą pokoleniową zwraca uwagę także rzemiosło, choć są też zawody, w których o uczniach łatwiej. Takimi zawodami są kosmetyczka czy fryzjer. Choć tu nie ma – przynajmniej na razie – zagrożenia przesyceniem rynku. Raz, że coraz bardziej dbamy o siebie, więc nie wygląda na to, by pracy w tych zawodach miało zabraknąć. A dwa – gabinety coraz częściej stawiają na specjalizację – zajmują się na przykład wyłącznie podologią czy oprawą oczu.

Oprócz rosnących wynagrodzeń, wybór drogi kształcenia zawodowego czy branżowego daje kilka innych przewag. Szkolenie zawodowe jest od początku powiązane z pracą. Młody człowiek od pierwszej klasy ma status pracownika przyuczającego się do zawodu, a co za tym idzie – od początku otrzymuje wynagrodzenie. Ma też umowę o pracę i pełne ubezpieczenie. A skoro zarabia – szybko staje się samodzielny, a przynajmniej samodzielniejszy. Nauka w szkole pierwszego stopnia kończy się po trzech latach, a uczeń nie musi szukać pracy – pozostaje pracownikiem firmy, w której przyuczal się do zawodu. Istotny jest również sam fakt rozpoczęcia regularnej pracy już po trzech latach nauki, kiedy rówieśników, którzy wybrali kształcenie ogólne, czekają kolejne lata studiów.

Jest też coś, co może wydawać się pewną niedogodnością, bo praca wiąże się z tym, że uczeń nie ma wakacji. Zamiast tego ma prawo do urlopu – 38 dni w roku w pierwszym roku nauki.

– Szkoły kształcące zawodowo i branżowo działają we wszystkich miastach powiatowych w regionie, a także poza nimi – mówi dyrektor CWRKDiZ w Pile. – Dwie z nich – w Starej Łubiance i Złotowie – są jednostkami Samorządu Województwa Wielkopolskiego. Wielkopolskie Samorządowe Centrum Edukacji i Terapii w Starej Łubiance kształci przyszłych ogrodników i florystów, mechaników i operatorów maszyn i pojazdów rolniczych oraz cukierników. Prowadzi też klasę specjalną, w której uczą się przyszli

pracownicy obsługi hotelowej. Z kolei złotowskie Wielkopolskie Samorządowe Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego to pomysł na zmianę w życiu dla dorosłych, którzy – na przykład – wypalili się zawodowo. W szkole przy Szkolnej w Złotowie mogą znaleźć swoje nowe zawodowe życie.

Marzec 2020. Kolejny rocznik młodych ludzi stoi przed wyborem, z którego konsekwencji często nie zdają sobie sprawy. Za kilka tygodni koniec szkoły podstawowej i... Co dalej? – Młodzież nadal preferuje kształcenie ogólne i – w dalszej kolejności – studia. I nie ma w tym wyborze nic złego – mówi doradca zawodowy CWRKDiZ w Pile. – Zachęcamy natomiast do przyjrzenia się możliwościom, jakie daje kształcenie zawodowe i branżowe. Ta droga daje możliwość przekucia własnej pasji w zawód. A nie ma w zawodowym życiu nic lepszego niż praca, którą się po prostu lubi. Ze wszystkimi swoimi atutami, to właśnie droga zawodowa może okazać się trafnym wyborem, zgodnym z indywidualnymi predyspozycjami.

Ważną rolę w wyborach młodzieży pełnią rodzice, choć często robią to nieświadomie. – Istotne, by nie kierować się swoimi ambicjami – mówi Ewa Krupka-Zaręba. – Wsparcie rodziców jest bardzo ważne na starcie w zawodowe życie. Uczniowie mają możliwość poznania zawodowych realiów i dotknięcia pracy na wydarzeniach takich jak „Noc Zawodowców”. Z uczniami pracują także doradcy zawodowi w szkołach m.in. prowadząc warsztaty „Kończysz szkołę i co dalej?” czy „Wchodzę na rynek pracy”. To oni pomagają rozpoznać indywidualne predyspozycje i preferencje. Praca z nimi często uświadamia młodym ludziom to, co faktycznie chcieliby robić w życiu. Na pewno wybór typu „idę tam, bo idzie koleżanka” jest najbardziej ryzykowną ze wszystkich możliwych decyzji.

Doradcy zawodowi czekają na stojącą przed zawodowym wyborem młodzież, a także na rodziców, w biurze Centrum Wsparcia Rzemiosła, Kształcenia Dualnego i Zawodowego w Pile przy Bydgoskiej 21 w Pile (na drugim piętrze). Na indywidualne konsultacje, podczas których doradca zawodowy – dzięki testom i rozmowom – pomoże uczniowi rozpoznać predyspozycje, oraz zapozna go z ofertą szkół i potrzebami rynku pracy, można umówić się pod numerem 67 307 00 05.

Kontakt:



CWRKDiZ

Centrum Wsparcia Rzemiosła, Kształcenia Dualnego i Zawodowego w Pile

ul. Bydgoska 21 (II piętro, pok. 223)

64-920 Piła

tel. 67 307 00 05

www.cwrkdiz.pila.pl

www.facebook.com/cwrkdiz.pila/

Siedlisko z jeziorem w tle



Poranna kawa na słonecznym tarasie? Jesienne spotkanie z przyjaciółmi przy żywym ogniu? Kąpiel w czystym jeziorze przy prywatnym pomoście? Jest w regionie takie miejsce, choć początek tej historii to przypadek. Jednak tylko początek, bo obecny kształt domu i otoczenia to dopracowywany przez lata projekt. Nad Jeziorem Wapińskim powstała prawdziwa oaza spokoju. Miejsce, w którym naprawdę można cieszyć się życiem. I... właśnie można w nim zamieszkać.

Przypadek wydarzył się prawie dwadzieścia lat temu. Pani Danuta – gospodyni tego wyjątkowego domu – pracowała w pilskim biurze ogłoszeń regionalnego dziennika. Pewnego dnia ktoś przyszedł zamieścić ogłoszenie o sprzedaży działek w okolicy Głubczyzna w gminie Krajenka. – *Mieszkaliśmy wtedy w Pile, na siódmym piętrze – wspomina. – Lubimy naturę i miejsca, w których można złapać z nią kontakt.*

Pan Piotr dodaje: – *Dobrze znaliśmy Jezioro Wapińskie, bo przyjeżdżaliśmy nad nie latem. Zamiast pchać się na zatłoczone Plotki czy Piaszczyste, woleliśmy tę trawiastą plażę w Rogownicę. Tam zawsze było spokojniej. W tamtych czasach osiedle nad jeziorem dopiero zaczynało powstawać – pojawiały się pierwsze domy. Kiedy Danka wróciła do domu, opowiedziała o tym ogłoszeniu i wyłumaczyła w którym to jest mniej więcej miejscu, pojechaliśmy na rekonesans.*

Działka wyglądała zupełnie inaczej niż dziś – rosła na niej jedynie trawa, nie było drzew ani krzewów. Decyzja o kupnie pierwszych 700 metrów kwadratowych zapadła szybko, jednak o budowie domu obecni właściciele postanowili dopiero trzy lata później. Pan Piotr wspomina tamten wieczór: – *Temat pojawił się w rozmowie niespodziewanie. Dzieci były na studiach, my – oboje po czterdziestce... Po co mamy co roku wyjeżdżać pod namiot, skoro mamy swój kawałek ziemi nad jeziorem, piętnaście kilometrów od domu?*

Kolejna decyzja nie była łatwa, bo miała zdecydować o tym, jak potoczy się rodzinne życie. Budować dom rekreacyjny na lato, czy postawić solidny dom i uciec z Piły? Górę wzięła miłość do natury i państwo Danuta i Piotr postanowili, że osiądą nad jeziorem, kwadrans drogi od miasta. Rok później przeprowadzili się do nowego domu w szczerym polu.

Takie położenie okazało się kluczowym atutem. Jest nim również dziś, mimo że w sąsiedztwie powstało kilka kolejnych domów. – *Rano siadamy przed domem z kubkiem kawy i mamy National Geographic na żywo – mówi pan Piotr. – Słychać jak nad jeziorem rechoczą żaby, jak ptactwo budzi się do życia, wokoło domu lata wszystko co żyje. Widać dzięką zwierzyńce.*

Dom jest przytulny. Parter to część dzienna. Piętro zostało zagospodarowane jako prywatna przestrzeń gospodarzy, choć znajdują się tam także sypialnie dla gości. Dom ma wszystkie instalacje potrzebne do życia: własne ujęcie wody głębinowej, ogrzewanie kominkiem z płaszczem wodnym oraz – zamiennie – gazowe, kanalizację i dostęp do sieci światłowodowej. Można korzystać z wszelkich atutów życia na uboczu, pozostając w bieżącym kontakcie z cywilizacją.

Sama działka rozrastała się przez lata. Z początkowych 700 metrów kwadratowych zrobiło się pół hektara. To, co fascynuje najbardziej, można znaleźć właśnie tutaj: teren z pięknie zagospodarowanego ogrodu niepostrzeżenie przechodzi w prawdziwy las sosnowy. Przy czym słowo „niepostrzeżenie” należy czytać dosłownie. Idziesz po równo przystrzyżonej trawie, wśród starannie pielęgnowanych drzew i krzewów, i nagle orientujesz się, że rozglądasz się za grzybami. Tych w leśnej części nieruchomości nie brakuje – ubiegłoroczny sezon grzybowy zaowocował ponad osiemdziesięcioma prawdziwkami. Leśna polana – bo i takie miejsce się znalazło – jest także przestrzenią wypoczynku. – *Od wiosny do jesieni wypoczywamy tam w czasie upałów – opowiada o życiu w siedlisku nad jeziorem pani Danuta. – Siedzimy w środku lasu, oddychając naturalnymi sosnowymi olejkami. No i tu nie ma pracy, bo las urządzi się sam. Zostawiliśmy go naturze.*

Część ogrodowa została zaprojektowana tak, by – choć zagospodarowana – nie wymagała pracy od rana do wieczora. – *Teren bezpośrednio przy domu, to miał być taki park – opowiada pani Danuta. – Nie należę do osób, które chcą poświęcać utrzymaniu domu każdą chwilę, więc w głowie miałam jedno: żeby ogród nie wymagał ciężkiej pracy, żebyśmy cieszyli się z tego miejsca, żebyśmy mogli wypoczywać, a nie tylko przy nim pracować.*

Centrum życia towarzyskiego jest duża wiata z robiącym wrażenie paleniskiem rozmiarów niewielkiego pieca chlebowego. – *Najpierw miał tu być garaż, ale mieszkając w bloku mieliśmy garaż pod domem i... rzadko z niego korzystaliśmy – tłumaczy tę zmianę pan Piotr. – To było miejsce na „przydasie”. Auta są coraz lepsze, zimy – coraz łżejsze. Szkoda było nam miejsca na garaż, z którego pewnie i tak byśmy nie korzystali. Pomyśleliśmy, że taka wiata biesiadna będzie jak znalazł, a zainspirowało nas miejsce naszej nieżyjącej już szkolnej koleżanki. Mieszkała w leśniczówce na Lubelszczyźnie. Miała właśnie taką wiatę z osikowym gontem, z wolimi oczkami na*



Fot. KZ Nieruchomości

dachu. Tak nam się to spodobało, że wzięliśmy od niej zamiar na firmę, która tę wiatę zbudowała, no i tę naszą stawiali również cieśle z Lubelszczyzny.

Palenisko o dużym przekroju zapewnia ciepło w czasie biesiad nawet w chłodne, jesienne dni. Z kolei latem wiata daje przyjemny cień.

Lokalizacja i otoczenie nieruchomości sprzyjają wypoczynkowi – zarówno aktywnemu, jak i leniwemu. Można jeździć rowerem, spacerować po

lesie i polnych drogach, ciesząc się swojskimi krajobrazami i ciszą przerywaną jedynie przez dźwięki ptaki (głównie żurawie). Można też korzystać z wypoczynku nad jeziorem, bo gospodarze nieruchomości zadbali o budowę prywatnego, legalnego pomostu. Jezioro Wapieńskie jest znane z czystej wody, a to wyjątkowe siedlisko znajduje się tuż przy jego północno-wschodnim krańcu. Zamykany pomost jest wyposażony w schody z

Wspólnie z KZ Nieruchomości opowiadamy o wyjątkowych miejscach

Trafiliśmy na siebie – tak jak państwo Danuta i Piotr na swoje dzisiejsze miejsce w świecie – przypadkiem. I to tyle w kwestii przypadków we współpracy Magazynu67 i KZ Nieruchomości. Choć zawodowo robimy zupełnie różne rzeczy, to podobnie czujemy świat w którym żyjemy, podobnie inspirujemy się regionem i podobne wartości kierują nami, kiedy chodzi o biznes. KZ Nieruchomości to profesjonalści na rynku pośrednictwa nieruchomości. Wnoszą powiew świeżości na lokalny rynek, oferując – poza najwyższej jakości serwisem i wysoką polisą ubezpieczeniową – to „coś”, dzięki czemu stają się dobrymi znajomymi swoich klientów. Magazyn67 to z kolei historie inspirowane regionem, jego czekającymi na odkrycie ludźmi i zakątkami – takimi jak siedlisko nad Jeziorem Wapieńskim. Jeżeli chcesz pokazać swoją wyjątkową nieruchomość w jednym takim magazynie w regionie, zadzwoń pod 791 84 74 52 lub napisz: marcin@magazyn67.pl. Albo powierz jej sprzedaż ekspertom z KZ Nieruchomości: www.kznieruchomosci.pl.



Fot. KZ Nieruchomości

blachy nierdzewnej, więc problemu nie stanowi wejście zarówno do wody, jak i do łodzi. Choć oczywiście można po prostu korzystać ze słońca, niekoniecznie samotnie... Pomost ma aż 22 metry kwadratowe powierzchni.

Można też wędkować, licząc na złowienie uklei, płoci, krasnopiórki, okonia, sandacza, lina, szczupaka, leszcza, karasia... Lista gatunków, które wymienia pan Piotr, jest długa. Zdarzają się też wyjątkowe okazy. – *Nie jestem zapalonym wędkarzem, ale udało mi się złowić szczupaka, który miał metr i trzy centymetry długości. Gdyby nie sąsiad, który podpłynął z podbierakiem, nie dałbym rady go wyciągnąć.*

Co istotne, Jezioro Wapińskie objęte jest strefą ciszy. Można po nim pływać kajakami, łodziami wiosłowymi lub z silnikami elektrycznymi.

Warto jeszcze wspomnieć o mini-sadzie, w którym rośnie cały przekrój gatunków drzew owocowych. Choć tu państwo Danuta i Piotr musieli dać pierwszeństwo jednemu z sąsiadów. Na wzgórzu w sąsiedztwie rozciąga się trzyhektarowa winnica, która – szczególnie latem i wczesną jesienią – nadaje okolicy uroku kojarzącego się z południem Europy. – *Mamy wokoło siebie wspaniałych ludzi – kończy opowieść pan Piotr. – Lubimy spotkać się szczególnie*

letnią porą, usiąść przy ognisku albo przy grillu, porozmawiać, pośmiać się, napić się dobrego wina...

I nawet przy dobrym sąsiedztwie, każdy doceni prywatność. A ta w siedlisku nad Jeziorem Wapińskim jest zapewniona. Wszystkie działki są stosunkowo duże, a domy na nich zostały zbudowane daleko od ogrodzenia. Reszty dopełnia wysoki, gęsty żywopłot. Jest intymnie. Prawdziwy chill nad jeziorem.

Tę wyjątkową nieruchomość znajdziecie w ofercie biura KZ Nieruchomości: www.kznieruchomosci.pl.

Kontakt:

KZ NIERUCHOMOŚCI
kittel & zamojda s.c.



DOBRA STRONA NIERUCHOMOŚCI

ul. Sikorskiego 80
64-920 Piła
tel. 884 089 777

www.facebook.com/KittelZamojda
www.kznieruchomosci.pl

Po pilsku o żużlu. Drukiem



Fot. Robert Judycki

Wojtek Drózdź – encyklopedia pilskiego żużla – napisał i własnym sumptem wydał książkę o historii czarnego sportu w mieście. Nie ma w niej ani jednej tabeli wyników. Są za to mięsiste, pełne ludzkich emocji historie do pochłonięcia jednym tchem nawet przez kogoś, kto za żużlem nie przepada.

Jest w historii pilskiego żużla coś czego nie wiesz?

Jest bardzo dużo takich rzeczy. Najmniej wiem o starej Polonii – tej, która istniała do roku 1967. Tam właściwie są białe plamy, dziś już chyba nie do wypełnienia. Najbardziej żałuję, że nie mam konkretnych dat dotyczących żużlowej historii stadionu przy Mickiewicza. Wiem, że tam żużel się zaczął, że tam były wyścigi, ale nie ma żadnych konkretnych informacji dotyczących tego co się tam działo. Żużel przy Mickiewicza to końcówka lat czterdziestych i początek pięćdziesiątych, ale nie wiemy dokładnie kto, dokładnie kiedy. Są to bardzo wybrakowane dane. Nie ma żadnych kronik z informacjami, a przynajmniej do takich nie dotarłem. Świadców tamtych wydarzeń w większości już nie

żyją. Wszystko co tam się działo, dziś pozostaje tajemnicą.

O tym

współczesnym żużlu, po 1992 roku, wiem zdecydowanie więcej, ale też media były bardziej aktywne. Istniał już Tygodnik Żużlowy, wielu świadków wspomina te informacje, więc tutaj trudno mówić o czymś, że zaginęło.

A ten czas, kiedy nie było klubu, nie było rozgrywek ligowych, ale zawody jednak się odbywały? Lata osiemdziesiąte?

A także siedemdziesiąte. Były dłuższe przerwy – na przykład pięć lat bez żużla i jakiś turniej, potem znowu trzy lata przerwy i dwa turnieje. Te informacje



pozyskiwałem też z prasy, bo zdawkowe notki na ten temat już były. Tutaj braki są już mniejsze. Ale cały czas można powiedzieć, że do 1992 roku żużel w Pile był bardzo słabo opisany.

Do ile dni spędziłeś w bibliotekach?

Pilska biblioteka pożyczyła mi płyty ze skanami „Ziemi Nadnoteckiej” i innych gazet. Przejrzałem je dość dokładnie w domu. Popytałem też w muzeach, ale kluczowym źródłem byli ludzie. Od początku do książki podchodziłem w ten sposób, że przede wszystkim będę pytał ludzi, a statystyki odkładam na bok. Kto miał się nimi zająć, już się zajął, zrobił tyle ile dało się zrobić, i ja tego na pewno nie przebiję. Zresztą są dwaj – trzej historycy, którzy bardzo skrupulatnie ten temat badają. Ale nikt do tej pory nie spisał wspomnień ludzi, którzy pamiętają ten dawniejszy żużel, ten współczesny żużel i dlatego to był mój pomysł na książkę.

Wspomniałeś o muzeach... W jakich muzeach można znaleźć fakty dotyczące historii żużla?

Nie można. W Muzeum Okręgowym, do którego celowałem – i od tej historii zaczynam książkę – poszedłem do pana Ziemowita Niedźwieckiego. Powiedział życzliwie, że sprawdzi, i rzeczywiście sprawdzał i on, i pracownik muzeum. Nie było nic. To był mój jedyny pomysł, ale całe szczęście, że do Muzeum Okręgowego skierowałem się już po przejrzaniu Ziemi Nadnoteckiej, gdzie sporo tych informacji było.

Jak dawno zacząłeś prace nad książką?

Dokładnej daty nie pamiętam. Przypuszczam, że to była zima 2018 roku. Skończyłem pisać w październiku 2019 roku, kiedy była jeszcze spora nadzieja, że ligowy żużel w Pile przetrwa. Dlatego końcówka jest optymistyczna. Napisałem, że żużel przetrwał najtrudniejszy czas w ostatnich miesiącach, i będzie nadal istniał. Kiedy książka była już wydrukowana, było wiadomo, że jest inaczej, ale nie mogłem tego już zmienić. Z perspektywy czasu uważam, że nawet nie było potrzeby tego zmieniać, bo można to odebrać trochę metaforycznie.

Pisanie i korekta zajęły półtora roku, a później jeszcze miesiąc z hakiem – praca drukarska.

Naiwne pytanie, którego pewnie się spodziewasz: dlaczego?

Lubię żużel, ale o tym wiesz. Lubię żużel i – to z kolei zabrzmi górnolotnie, ale to prawda – wiem, że odchodzimy, nigdy nie wiemy kiedy odejdziemy, i pewnych rzeczy – jeżeli ich nie zrobimy – nikt po nas nie robi. A ponieważ sporo osób, które interesują się żużlem, motywuje mnie, pytając o różne rzeczy, wcześniej nagrywałem programy żużlowe... Trochę tej wiedzy mam i to mnie nakręcało.

Poza tym pisanie tej książki nie było dla mnie żadnym problemem. Wiedziałem co chcę pisać, wiedziałem czego szukać, miałem to w głowie mniej

więcej poukładane. Chodziło tylko o to, żeby to napisać w miarę ciekawie dla czytelnika.

Coś cię w trakcie pisania zaskoczyło?

Wszystkie rozmowy były zaskakujące, ponieważ koncentrowałem się na ciekawostkach. Oczywiście niektórzy rozmówcy mówili o tym, o czym dobrze wiedziałem, ale każdy z nich dokładał coś od siebie. Czyli opowiadał, że na przykład w 1999 na meczu Polonii o Mistrzostwo Polski, był z wujkiem, który na okrągło palił papierosy. Takie rzeczy pisałem...

Koloryt.

Właśnie dlatego takich historii nie wymazywałem. Wymazałem opowieść kolegi o tym jak jechał na daleką wycieczkę żużlową. Zastawili całe wyjście z autobusu i nie mieli jak siusiać... Nie powiem co robili. Ale takie informacje też się przewijały i pewne rzeczy trzeba było odsiać. Natomiast takich barwnych historii jest dużo.

Czego sam się dowiedziałeś z tej „twardej” historii.

„Twarda” historia, którą poznawałem, to przede wszystkim data pierwszego meczu żużlowego. Kiedyś, dawno, dawno temu trafiłem na tę informację w Tygodniku Żużlowym, ale odświeżyłem ją sobie i bardzo mnie urzekła. Pierwsze zawody żużlowe w Pile odbyły się prawdopodobnie w lipcu 1949 roku – bodaj 24 lipca. To jest taka informacja, której się nie podaje. W powszechnym obiegu mówi się, że żużel istnieje w Pile od 1947 roku. Ja jednak bardziej wierzę tej informacji, że był to rok 1949.

Wszystkie – bez wyjątku – informacje o starym żużlu, na które natrafiłem w gazetach, były dla mnie niebywałymi perełkami. One pachną inaczej, i to jest coś, czego nie wiedziałem.

No i trzecia sprawa, o której warto powiedzieć: rodzina Rutkowskich. Świętej pamięci Wiesław Rutkowski to była największa sława pierwszego etapu pilskiego żużla. Jego wnuk Łukasz podzielił się ze mną dyplomami dziadka – udało się je zeskanować i są dodatkiem do książki. To też są dane, których – tak myślę – nigdzie bym nie zdobył.

Będzie ciąg dalszy?

Pewnie nie za mojej kadencji. Nie dlatego, że nie wierzę, że żużel w Pile przetrwa. Wierzę. Pewnie będą kłopoty, może rok, może kilka lat, ale nie poddamy się. Jednak myślę, że żeby zebrać taką bazę informacji jak w tej książce, musiałoby minąć ze trzydzieści lat. Nie wiem czy dotrwam do tego czasu. Ale ponieważ lubię tę robotę, jeżeli uda mi się napisać coś nienudnego, to zrobię coś. Może mniej żużlowego, a bardziej życiowego, może coś żużlowego, ale mniej pilskiego... Myślę, że będę pisać dalej.

Post scriptum rozmowy: niestety, nakład książki „Po pilsku o żużlu” został już wyczerpany.



**Przedwiośnie. Polna droga w okolicy
Starej Łubianki. Fot. Marcin Maziarz**

Koniec zimy. Początek wiosny. Słońce delikatnie muskające twarz. Po ciemnych miesiącach między pracą i domem, chce się wyjść. I doświadczyć ciszy. Wsiadasz w auto, ruszasz przed siebie. Za miasto. Skręcasz w boczną drogę. Taką, na której jeszcze cię nie było. Zatrzymujesz się w mniej lub bardziej losowym miejscu.

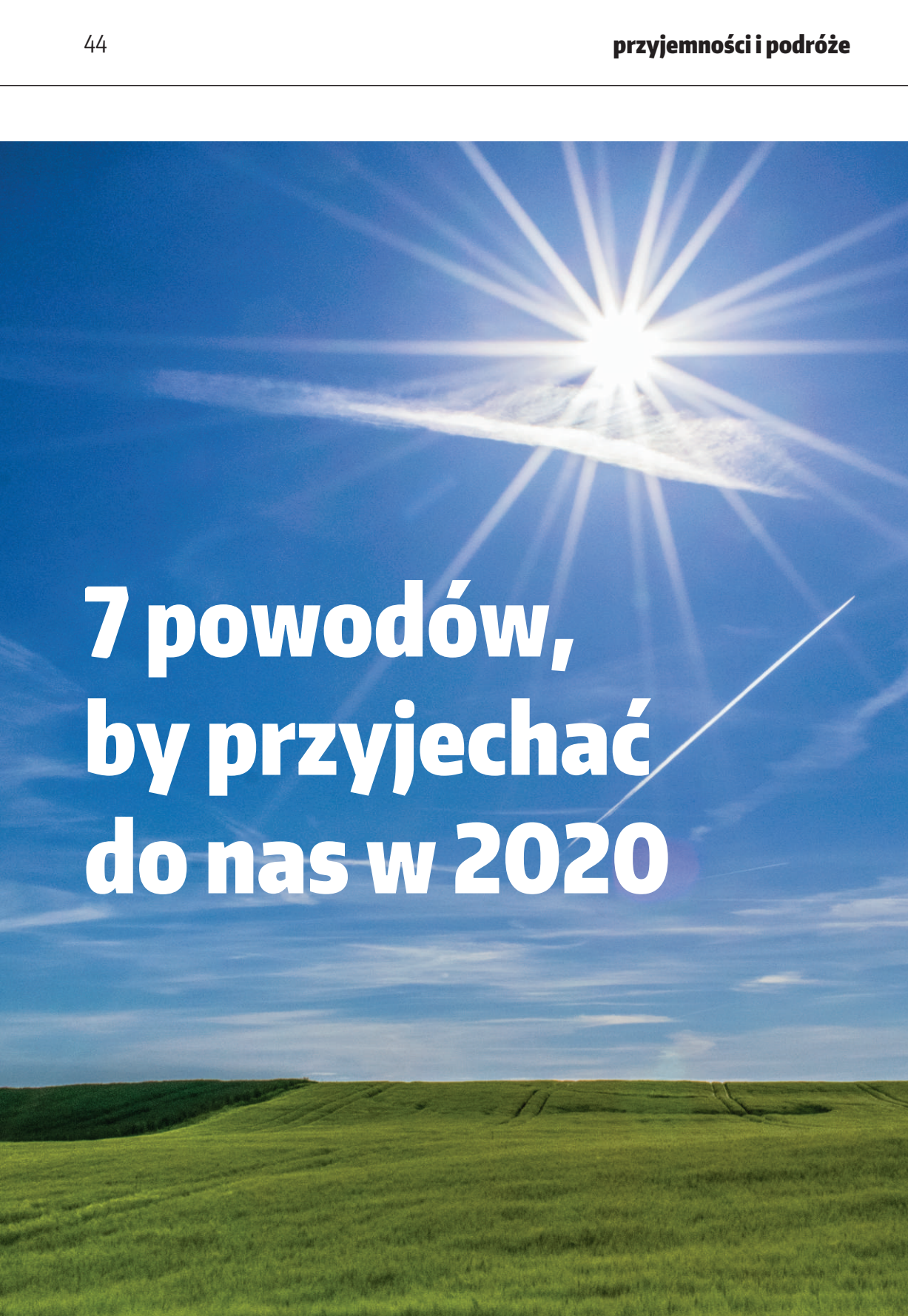
Wsiadasz. Opierasz się o auto albo idziesz przed siebie, wystawiając twarz do słońca. Rozpościerasz ręce, wciągasz powietrze do płuc. Mimo słońca jest jeszcze lekko chłodne. Może nawet odrobinę czuć w nim zapach mrozu. Bo przecież mróz ma zapach. Świeże powietrze przyjemnie łaskocze w nozdrzach, daje się odczuć gdzieś w środku, w końcu dociera do dna płuc. Promienie słońca łagodnie głaszczą cię po twarzy.

Boczne ścieżki. Znajdziesz ciszę, ale możesz się zakopać



W uszach dzwoni cisza. Nawet jeżeli przerywana krzykiem ptaków, to nadal cisza. Daleko od miasta przestrzeń brzmi inaczej. I pachnie inaczej. Tutaj czujesz, że możesz zanurzyć się w świeżości, poczuć wolność – tę prawdziwą, którą masz w głowie. Której nie krępują ściany. Jesteś tylko ty, niebo, ziemia, słońce i przestrzeń. Dookoła zieloność, świeżość, którą widać na pierwszy rzut oka. Życie się odradza, by za chwilę wybuchnąć. Ten moment cieszysz najbardziej.

Uważaj tylko, by się nie zakopać. Polne drogi nasiąknięte przedwiosennymi deszczami, bywają zdradliwe – mogą nagle zmienić się w grząskie błoto, z którego ratunkiem będzie telefon do przyjaciela albo spacer do najbliższej wsi w poszukiwaniu traktora z kierowcą. Ale to tylko przygoda. Aż przygoda. Wczesna wiosna jest po to, by czerpać z niej całym sobą. Także przygody.

A bright sun with rays shining over a green field under a blue sky. The sun is positioned in the upper right quadrant, casting a wide, soft glow across the scene. The sky is a deep, clear blue with some wispy clouds near the horizon. The foreground is a lush green field with rolling hills, suggesting a rural or natural setting. The overall mood is bright, clear, and optimistic.

7 powodów, by przyjechać do nas w 2020

Wiem, wiem. Jeździ się nad morze, w góry i na Mazury, względnie w Bory Tucholskie i do Krakowa. Do nas nie ma po co, bo nie ma niczego. I to jest pierwszy i najważniejszy powód, dla którego warto do nas przyjechać! Przekaż znajomym z Warszawy! ;)

Pewnie znasz ten stary dowcip „motywacyjny”, opowiadany kiedyś na szkoleniach dla przedstawicieli handlowych (znam z autopsji). Dwaj sprzedawcy butów zostali wysłani na afrykańską prowincję. Pierwszy wrócił zmartwiony: „to słaby rynek, nikt tam nie nosi butów”. Drugi wrócił w doskonałym humorze: „to fantastyczny rynek, nikt tam nie nosi butów!”.

To dowcip trochę o nas, a raczej o naszym regionie. O tym, co sami myślimy o sobie. Od paru lat w Magazynie67 i nie tylko, staram się być tym drugim sprzedawcą butów. To oczywiście, że nie mamy zabytków Krakowa. Prawdę mówiąc zabytków nie mamy prawie wcale. Z oczywistych przyczyn nie mamy też gór ani dostępu do morza. Mamy za to na wyciągnięcie ręki lasy, jeziora, rzeki w ich naturalnych korytach i puste przestrzenie. Można powiedzieć, że „mamy wielkie nic”. Nie mamy czym przyciągnąć? Wręcz przeciwnie, choć nie każdego. Tak jak nie każdego jest w stanie przyciągnąć Kraków, Mielno czy Zakopane.

Nasz region nigdy nie będzie produktem turystycznym dla masowego klienta wakacyjnego – tego, który szuka letniej rozrywki w Mielnie czy Władysławowie. Jeżeli szukać gdzieś naszej konkurencji, to na wschodzie Polski – w regionie nad Bugiem, Narwią, ewentualnie... w Bieszczadach. Pomyślałeś, że zwariowałem? Jasne, gór nie mamy i w dającej się przewidzieć perspektywie mieć nie będziemy. Ale...

Chodzi o target. O ludzi, którzy w tych miejscach szukają spokoju, niezdeptanych ścieżek, którymi można wędrować w rytmie słow, dzikich miejsc, w których można przysiąść, wciągnąć powietrze i wystawić twarz do słońca. Trudno znaleźć te atuty w Bieszczadach, które w sezonie żyją już masową turystyką. Wschód Polski staje się coraz popularniejszym celem turystyki. Za to kilka regionów nadal czeka na odkrycie. Wśród nich – nasz – nad Gwdą i Notecią. Czym możemy powalczyć o turystów?

Nie ma niczego

To nasz podstawowy atut. Nie ma niczego i dlatego jest miejsce do uprawiania nieskrepowanej turystyki, odkrywania miejsc nieodkrytych, cieszenia się byciem. A także do prawdziwego wypoczynku. Ciszy wystarczy dla każdego.

Kolor Roku 2020 Pantone® mamy w naturze

Pantone ogłosił kolorem roku 2020 Classic Blue. To ten odcień niebieskiego, który oglądamy w czasie letniego zmięrczchu, kiedy słońce jest już za horyzontem, ale jeszcze rozświetla niebo. U nas widać go doskonale, kiedy stoisz gdzieś w polu, przy bocznej drodze i po upalnym dniu delektujesz się wieczornym spektaklem natury. To czas i miejsce, w którym doskonale słyszysz siebie i cieszysz się, że jesteś – po prostu.



W Warszawie (i innych dużych miastach) nikt nie wie gdzie jesteśmy

No, w Poznaniu i Bydgoszczy wiedzą. Ale klasyk to „To gdzie ty mieszkasz? W tym lesie?”. Jeżeli nie chcesz, by cię znaleźli w czasie urlopu, przyjeżdżaj na północ. Mamy tu nawet miejsca, w których nie ma zasięgu telefonii komórkowej, więc nikt nie będzie miał prawa kręcić nosem, że nie odebrałeś telefonu.

Mamy najbardziej klasyczne krajobrazy na świecie (a przynajmniej w Polsce)

A oświetlone popołudniowym i wieczornym światłem wyglądają obłędnie. Klasyczna wąska droga obrośnięta ogłowionymi wierzbami? Proszę bardzo. Łany zboża kołyszące się na wietrze? Wystarczy wyjechać za miasto. Podobnie jak do klasycznego lasu sosnowego, który zachwyci cię zapachem wydobytym przez upał. Jeziora z białymi żaglami, szeroka Dolina Noteci, Gwda, Rurzyca, Płytnica,

Dobrzyca i inne rzeki i rzeczki wijące się wśród pól, łąk i lasów. Idealnie wyglądają zarówno z bliska, kiedy ich dotykasz, jak i z paralotni czy samolotu, kiedy odkrywają przed tobą swoje tajemnice, których nie dostrzeżesz z ziemi.

Lasy i jeziora są naszym bogactwem

Nie samą ciszą człowiek żyje, a w końcu nadchodzi moment, w którym fajnie wyjść z ukrycia. O tym, że zabytków, morza i gór nie mamy – już było. Można za to wyjść i ruszyć w las, tak jak wyrusza się w góry. Można znaleźć się nad jeziorem, których mamy pod dostatkiem i delektować się wodą, żaglami, plażą... Jest co robić. Czasem trzeba tylko zmienić perspektywę.

Mamy całkiem niezłą bazę noclegową

Naprawdę. W centrum Piły kończy się budowa drugiego dużego hotelu, a nocleg w standardzie



Fot. Marcin Maziarz

hotelowym można znaleźć wszystkich miastach powiatowych. Wysokiej jakości – trzy- i czterogwiazdkowe – hotele działają też w mniejszych miasteczkach i wsiach. Jeżeli ktoś preferuje – znajdzie domki campingowe nad jeziorami, a jeżeli woli wypoczynek blisko natury – czeka solidna baza gospodarstw agroturystycznych. Każdy znajdzie nocleg w stylu takim, jaki lubi.

Nikt nie zdeptał nam regionu i pewnie prędko się to nie wydarzy

Kiedyś kolega z Poznania, zobaczywszy zdjęcie przystani w Drzewoszewie, stwierdził, że to klimat Mazur z lat osiemdziesiątych, za którymi tęskni. Nasz region pozostanie kierunkiem niszowym – nie powinniśmy spodziewać się masowego ruchu turystycznego. Ale to właśnie atut: nikt naszych terenów nie zdeptał, mało kto je odkrył. I dlatego jeszcze sporo jest do zrobienia.

Co zatem robić? Konsekwentnie budować produkt turystyczny obejmujący Krajnę Żłotowską, region nad Gwdą i Notecią, Pojezierze Wałeckie i Chodzieskie. A raczej zacząć go budować. Można zacząć od zmiany postrzegania samych siebie. Od tego, że nasze „wielkie nic” jest tym, co możemy sprzedać. Że chill, cisza, nawet miejsca w których nie ma zasięgu telefonii komórkowej, to nasz atut – pierwsze składowe produktu, na których możemy zacząć budować. Jasne, jest naprawdę dużo do zrobienia zarówno w kwestii infrastruktury turystycznej, jak i tworzenia produktu. Ale pierwsze co możesz zrobić już dziś, to zaprosić tu znajomych – tych, którzy pracują w warszawskich, wrocławskich, a nawet poznańskich korporacjach, którzy cierpią na zabieganie, brak czasu dla siebie, wypalenie. W czasie – nawet weekendowego – pobytu u nas znajdą czas, przestrzeń i ciszę, w której usłyszą siebie, odpoczną, a – kto wie – może nawet poczynią pierwsze kroki do zmiany?

Dekobal razy dwa



Fot. Marcin Maziarz

Jeżeli na dowolnej pilskiej grupie na Facebooku pada pytanie „gdzie kupię balony napełnione helem?”, wiadomo, że padnie duuuuuuużo odpowiedzi „Dekobal na Kolbego”. Teraz już nie tylko tam... Dekobal jest także w Vivo!

Magdalena Stankiewicz w balonowym biznesie działa od ponad dziesięciu lat. Zresztą nie tylko balonowym, choć balony to towar, którego sprzedaje najwięcej. Okrągłe, prostokątne, w kształcie cyfr, gumowe, foliowe, na urodziny – pierwsze, osiemnaste i sześćdziesiąte – na imieniny, randkę, ślub, studniówkę, połowinki, gładkie, w kropki, w jednoróżce... Nie ma okazji, na którą nie znalazłaby balonu. Najczęściej od razu napełnia go helem i żelem, dzięki któremu unosi się przez tydzień, a nawet dłużej.

Ale to tylko część tego, z czego znany jest Dekobal. Bo choć wyrósł „z balonów”, to dziś zajmuje się kompleksową oprawą uroczystości – zarówno tych rodzinnych, przez biznesowe, aż do publicznych. Bale, rocznice, otwarcia, targi, premiery... Wszędzie, gdzie w Pile i okolicy pojawiają się okolicznościowe dekoracje, wśród których jest dużo balonów, z dużym prawdopodobieństwem można zgadywać, że za projektem i wykonaniem stoi Magda.

Choć to, co lubi najbardziej, to śluby i wesela. I z nimi jest kojarzona najczęściej. Młode pary, które powierzają Dekobalowi wystrój swojej uroczystości, mają do wyboru szeroki wybór akcesoriów wpasowujących się na wesela w niemal każdym stylu: od glamour przez polską tradycję po coraz popularniejszy boho. Ścianki, oprawa miejsc państwa młodych, wystrój kościoła i sali weselnej, pokrowce na krzesła, oprawa stołów... Nawet jeżeli czegoś nie ma w magazynie (a ma naprawdę sporo), znajdzie i sprowadzi.

Bywają też okazje równie romantyczne, choć zdecydowanie bardziej kameralne... Bo która z zakochanych pań nie chciałaby zobaczyć przed drzwiami domu wielkiego pudła z czerwoną kokardą, z którego po otwarciu wylatuje kilkadziesiąt balonów? Romantyk z niego, no...

A jeżeli nie romantycznie, to... Rodzinnie lub towarzysko. Bo dobra domówka jest jeszcze lepsza, kiedy gospodarz zadba o wystrój. Albo zleci go zawodowcowi. Tak samo zresztą, jak rocznicę, urodziny czy przyjęcie komunijne.

Sprawianie, by każda okazja miała odpowiednią oprawę, okazało się dla Magdy pomysłem na życie, który pozwolił jej zostawić pracę w korporacji. Brzmi jak marzenie? Spełnione z nawiązką, bo od marca Dekobal jest jeszcze bliżej. Do dobrze znanego adresu przy Kolbego 13D/U4 właśnie doszedł drugi: Centrum Handlowe Vivo! Piła. Balony, kartki i inne gadżety, które sprawią, że każda wyjątkowa okazja będzie jeszcze bardziej kolorowa, znajdziecie teraz także w największym centrum handlowym w regionie.

W nowej lokalizacji możesz liczyć na sprawną obsługę, której została podporządkowana także lokalizacja na wyspie handlowej umiejscowionej między Carrefourem i Przytulną: wpadasz po balony i zajmuje to chwilę. Do starej lokalizacji na Kolbego Magda zaprasza nadal, by przy kawie w spokoju omówić szczególnie większych projektów – na przykład weselnych.

Kontakt:



Dekobal
ul. Kolbego 13D/U4
64-920 Piła

Dekobal w Vivo!
ul. 14 Lutego 26
64-920 Piła

tel. 501 450 785
www.facebook.com/dekobal/

67

Ślub i wesele nad Gwdą i Notecią



DODATEK SPECJALNY MAGAZYNU67 • NR 1 • MARZEC — KWIECIEŃ 2020

Ślub weźmiesz tam gdzie sobie wymarzysz



Fot. Chroma Stock

Te nad oceanem oglądamy głównie w filmach, ale w Polsce także można wziąć ślub w (prawie) dowolnym miejscu. W ubiegłym roku w Pile urzędnicy udzielili kilku ślubów poza Urzędem Stanu Cywilnego. Głównie w restauracjach, ale zdarzyła się także uroczystość w Parku Miejskim. Jak zorganizować ślub w wymarzonej miejscy?

Kiedyś nie było to tak oczywiste i w dużej mierze zależało od interpretacji przepisów przez kierownika Urzędu Stanu Cywilnego. Dziś prawo stanowi jasno: można wziąć ślub (cywilny) poza lokalem USC.

Młode pary coraz śmielej korzystają z takiej możliwości. Co prawda nadal najwięcej małżeństw zawieranych jest w kościołach, na drugim miejscu są sale ślubów USC, ale w ubiegłym roku w Pile siedem par zdecydowało się na ślubowanie w innym miejscu. – *Najczęściej są to restauracje, ale w historii piłskiego USC mieliśmy jeden ślub w Parku Miejskim* – mówi Krystyna Podkova, kierownik Urzędu Stanu Cywilnego w Pile.

To niewiele, bo piłski USC w całym 2019 zarejestrował około 350. zawartych małżeństw.

Nie do każdego miejsca można zaprosić urzędnika stanu cywilnego. Ustawa mówi, że miejsce musi zapewniać uroczystą formę zawarcia małżeństwa. Musi być także bezpieczne. – *Za każdym razem sprawdzamy, czy miejsce spełnia te warunki* – mówi Krystyna Podkova. – *W restauracjach, które są wybierane najczęściej i raczej powszechnie znane, nie ma problemów. Natomiast w plenerze staramy się zobaczyć wybrane miejsce wcześniej.*

Aby wziąć ślub w plenerze lub w lokalu poza USC, trzeba zacząć od złożenia w tym ostatnim wniosku. Nie ma na to specjalnego druku – wniosek wystarczy napisać na zwykłej kartce. Należy określić miejsce, datę i godzinę. Szczegóły ustalane są w czasie rozmowy z kierownikiem urzędu. Niestety, ślub poza urzędem wiąże się ze sporą opłatą – tysiąc złotych. Opłata jest określona rozporządzeniem i obowiązuje w całym kraju. Przy „zwykłym” ślubie (zarówno cywilnym jak i konkordatowym) wnosi się jedynie wynoszącą 84 złote opłatę za sporządzenie aktu małżeństwa.

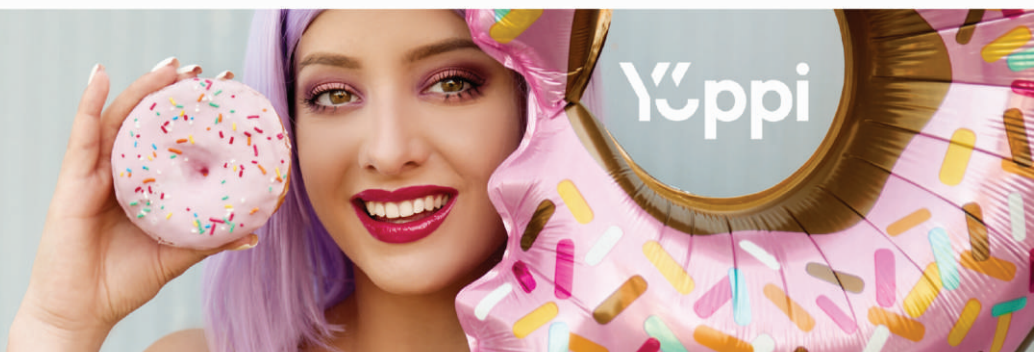
Co ważne, małżeństwo można zawrzeć w dowolnym miejscu – niekoniecznie w gminie, w

której zameldowane jest któreś z przyszłych małżonków. I tu drobny, acz istotny szczegół. Ślubu udzielać będzie urzędnik stanu cywilnego gminy, na terenie której zostanie zawarte małżeństwo. Jeżeli na przykład para z Pily chce pobrać się nad malowniczym jeziorem Bytyń Wielki, wszystkie formalności należy uzgodnić w USC w Mirosławcu, bo na terenie Gminy Mirosławiec znajduje się miejsce, w którym zostanie udzielony ślub. Udzieli go również miejscowy urzędnik. Tak samo będzie w przypadku ślubu w Zakopanem czy w Kołobrzegu – szczegóły należy ustalić na miejscu.

Dobra wiadomość jest taka, że najczęściej nie trzeba ponosić dodatkowych opłat za przygotowanie uroczystości zawarcia małżeństwa w miejscach publicznych. Najczęściej nie oznacza jednak, że zawsze. Jeżeli para chciałaby pobrać się w Parku Miejskim czy na wyspie w Pile – wystarczy uzgodnić taką uroczystość z Zarządem Dróg i Zieleni. Takie uzgodnienie daje nam pewność, że w wybranym miejscu nie jest w tym samym czasie zaplanowane inne wydarzenie, które mogłoby skutecznie zepsuć uroczystość. Opłat nie będzie też na przykład na Płotkach, jeżeli ślub miałby odbyć się na plaży (uzgodnienie z MOSiRem również konieczne), ale jeżeli goście mieliby korzystać z wiaty, miejsca na ognisko czy innych elementów infrastruktury, z których korzystanie znajduje się w oficjalnym cenniku – trzeba je doliczyć do budżetu uroczystości.

A gdyby ktoś chciał nadać swojej uroczystości szczególnie uroczystego charakteru, urzędnika stanu cywilnego może zastąpić miejscowy wójt, burmistrz lub prezydent. Taka możliwość realnie istnieje w Pile. Jeżeli para chce, by ślubu udzielił prezydent miasta – wystarczy uzgodnić to z Biurem Prezydenta w Urzędzie Miasta, i – oczywiście – wbić się w prezydencki kalendarz. Piotr Głowski co roku na prośbę państwa młodych udziela kilku ślubów osobiście.

REKLAMA



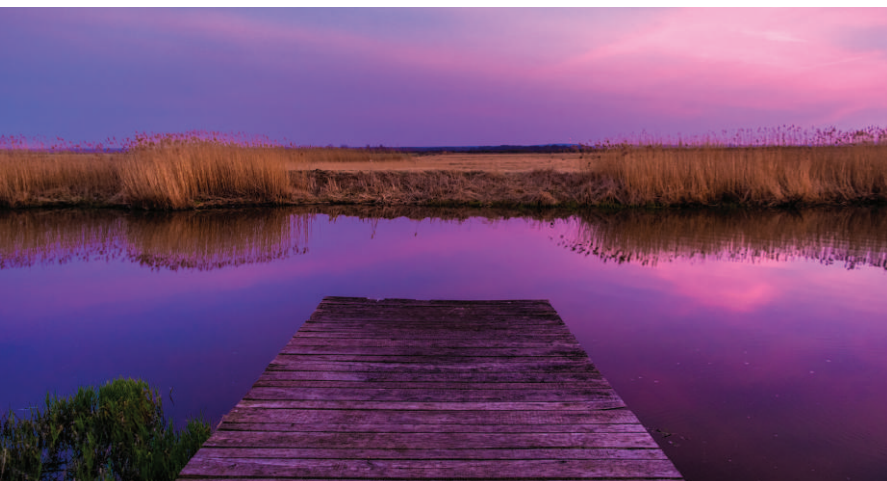
yuppi.com.pl

DEKORACJE I AKCESORIA

ŚLUBY | CHRZCINY | URODZINY | PRZYJĘCIA | IMPREZY FIRMOWE

5 miejsc w regionie na sesję ślubną w 2020

Są całkiem blisko miejsca – całkiem zwyczajne i dobrze znane – w których można stworzyć sesję ślubną, która na zawsze zostanie wam w pamięci. Wyobraźnia i wprawne oko fotografa to wszystko, czego wam potrzeba. Oto pięć propozycji miejsc w regionie, w których zrobicie niezapomnianą ślubną sesję fotograficzną.



Fot. Marcin Maziarz

Dolina Noteci. Ciągle niedoceniana, ciągle świeża, ciągle z czekającymi na odkrycie miejscami na obu brzegach. Takimi jak ta niewielka, prawie dzika przystań koło Miasteczka Krajeńskiego o zmierzchu. Gdziekolwiek pojedziecie, by mieć Notec w tle, będzie pięknie.

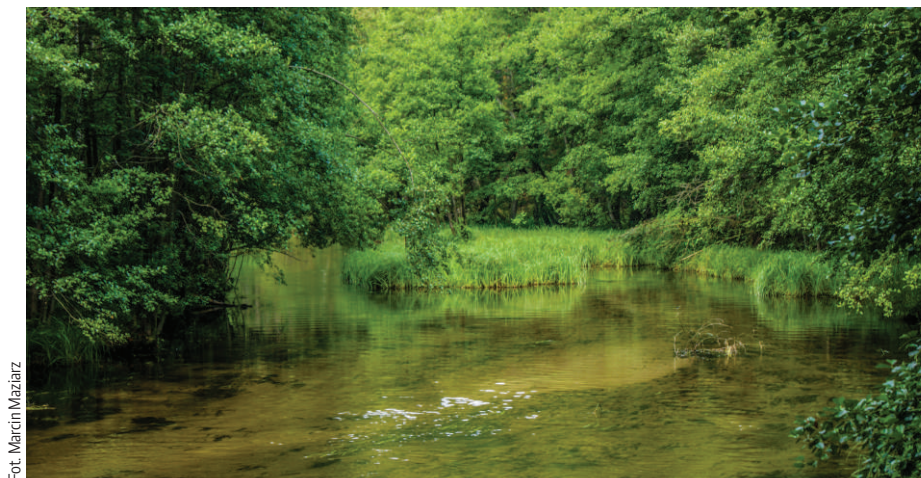
Jezioro Bytyń Wielki. Ale nie z brzegu, a w czasie rejsu. Wszystkie zatoczki, odnogi i pomosty Bytnia czekają na odkrycie przez nowożeńców żądnych wrażeń. Rejs po największym jeziorze regionu doda waszej ślubnej sesji wszystkiego czego jej potrzeba: turkusowej wody, błękitu nieba, bieli żagli i wiatru we włosach. A kiedy wieczorem słońce zacznie zachodzić za lasem, rozpęta się prawdziwa magia.



Fot. Marcin Maziarz

Mniejsze, płytkie rzeki.

Co powiecie na brodzenie w płytkim nurcie rzeki, w środku lasu... Takie miejsca znajdziecie na przykład na odcinkach Rurzycy, Płytnicy, Dobrzycy. Do tego jasny piasek na dnie, słońce prześwitujące między liśćmi, może drewniany mostek w tle... To będzie sesja emanująca spokojem i intymnością.



Fot. Marcin Maziarz



Fot. Marcin Maziarz

Sosnowy las. Miękkosć mchu, promienie słońca bawiące się w chowanego między drzewami... Zieleni i majestatyczne, wysokie pnie dookoła. Ta sesja pachnąca lasem i brzmiąca ciszą zostanie z wami na zawsze.

Wrzosowiska

Okoneckie. Nieśmiertelne jako tło dla młodych par. Co roku w sierpniu przeżywają obłęzenie par w białych sukniach i panów w garniturach. Ale trudno się dziwić – ogromne połacie kwitnących wrzosów są idealnym tłem dla miłości. Szczególnie w świetle zachodzącego słońca.



Fot. Marcin Maziarz

O sesji ślubnej można pomyśleć inaczej



Fot. Sławek Nakoneczny

Pamiątka na całe życie – taka myśl towarzyszy planowaniu i wykonaniu ślubnej sesji fotograficznej. Warto jednak rozejrzeć się wśród możliwości – może się okazać, że koszty sesji za granicą będą niższe od wyobrażeń. O tym dlaczego o sesji ślubnej warto pomyśleć inaczej, opowiada fotograf Sławek Nakoneczny.

Pierwsze było zlecenie od kolegi, który brał ślub. – *Nie chciał zamawiać profesjonalnego fotografa, a widział już moje zdjęcia przysłowiowych widoczków i żuczków – bo takie zdjęcia wtedy głównie robiłem – wspomina Sławek Nakoneczny. – Zgodził się na ryzyko związane z moim brakiem doświadczenia, a dla mnie była to okazja, by sprawdzić się na ślubie. Zdjęcia oczywiście wykonałem bezpłatnie.*

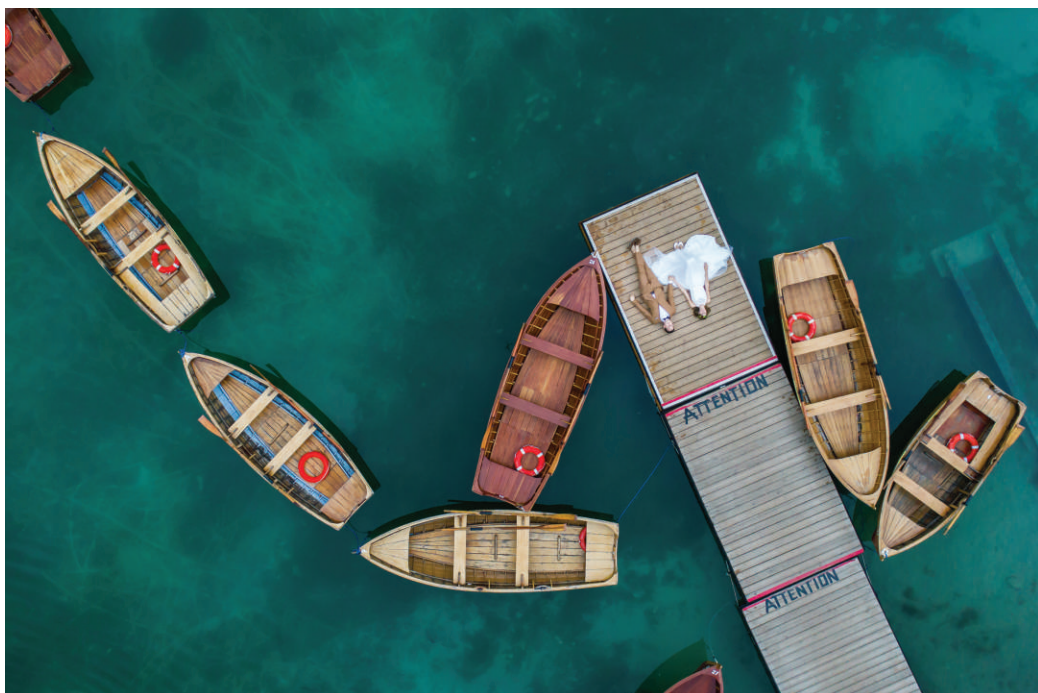
To był rok 2005. Rok później zaczęły się pojawiać pierwsze zlecenia za niewielkie pieniądze, a w 2007 roku pierwsza wyjazdowa sesja ślubna na wydmach w Łebie. Wtedy jeszcze jeździło tam niewielu

fotografów i zdjęcia zdobyły sporą popularność. Później na wydmach sesję chciała kolejna para... Łeba miała i ma to do siebie, że nawet w deszczu ma urok, a warunki za każdym razem są inne.

Zagraniczne sesje ślubne pojawiły się rok później. Pierwsza z nich odbyła się w Pradze. – *Fotografowałem parę, która chciała mieć sesję w zamku na południu Polski – wspomina Sławek. – To był czas, w którym wiele zamków miało już w cennikach pozycję „sesja ślubna”, na którą trzeba było wyłożyć kilkaset złotych. Zaproponowałem, że za te same pieniądze możemy pojechać nieco dalej –*



Fot. Sławek Nakoneczny



Fot. Sławek Nakoneczny



Fot. Sławek Nakoneczny

do Pragi, po drodze wykonując kilka kadrów w Karkonoszach. Marzyło mi się takie zlecenie i cieszyłem się gdy młodym spodobał się pomysł.

Tak zaczęło się zbieranie doświadczeń, które dziś pozwalają Sławkowi proponować rozwiązania, o których młode pary często nawet nie myślą. Stereotyp jest taki, że sesja fotograficzna na wyjeździe to duże wydatki, logistyka, i jeszcze raz wydatki... Prawda?

Niekoniecznie. – *Po pierwsze często sesja fotograficzna odbywa się w czasie podróży poślubnej, w którą młoda para tak czy inaczej się wybiera – mówi fotograf. – W takiej sytuacji zakup dodatkowego biletu lotniczego bywa tańszy niż organizacja dodatkowej podróży na przykład na południe Polski. Szczególnie jeżeli sesja miałaby odbyć się na przykład w pałacu, za co również trzeba dodatkowo zapłacić. Bywa też tak, że młodzi mieszkają na stałe za granicą i do Polski przylatują tylko na ślub. Na sesję najczęściej musieliby przylecieć jeszcze raz, płacąc za dwa bilety i bagaż z suknią włącznie... Znowu taniej kupić bilet tylko dla fotografa.*

Sesja wyjazdowa – zarówno w Polsce, jak i za granicą – wybierana jest głównie ze względu na otoczenie, którego nie znajdziemy na miejscu. Pary otrzymują w takich sesjach to, co nieznane, egzotyczne i niespotykane w miejscu ich zamieszkania i ślubu. Na przykład w Szkocji, dokąd wyemigrowała spora rzesza mieszkańców regionu. – *Uwielbiam tego typu lokalizacje. Dzika, piękna przyroda, wrzosowiska, góry, jeziora, wodospady i podróż do nich. Jedziemy i zatrzymujemy się, często wpadając w zachwyty. To dodatkowo pobudza emocje u pary młodej i wyzwala kreatywność u mnie. Nieco dalej ale jeszcze piękniej i różnorodniej jest na przykład na Islandii.*

Ta ostatnia cieszy się ostatnio rosnącym

zainteresowaniem. Niesamowite krajobrazy, zmieniające się dosłownie co kilka kilometrów tła dla sesji, no i pomysł na podróż życia. Bo taka przecież powinna być podróż poślubna – niezapomniana. Choć na Islandii trzeba pamiętać, że nie wszędzie i nie o każdej porze roku da się dojechać, a wejście do niektórych miejsc bywa kosztowne, podobnie jak transport do nich – dlatego czasem lepiej przejść kilka kilometrów. Popularne na Instagramie miejsca bywają też zatłoczone – na przykład porzucony na równinie Sólheimasandur wrak samolotu, który w 2007 pojawił się w dokumencie nagrany przez zespół Sigur Ros. Od tego czasu notuje się prawdziwie masowe zainteresowanie nim.

Kto wybiera sesje ślubne nie tylko w niestudyjnych, ale i nielokalnych warunkach? – *Najczęściej są to „dusze podróżnika”, osoby które lubią się przemieszczać, zwiedzać i poznawać. Przyciągamy się chyba podświadomie – mówi Sławek Nakoneczny. – Polska, Włochy, Islandia, Czechy... Gdy para jest zainteresowana taką sesją, zawsze proponuję miejsca, które są unikalne i często zapierają dech. Wiąże się to ze sporym wysiłkiem i pokonaniem wielu kilometrów zarówno w podróży jak i na sesji – na przykład trzydziestokilometrowy spacer w Tatrach. Po wszystkim mieliśmy razem dość, ale efekt wynagrodził wszystkie trudy.*

Ważne, by stroje państwa młodych były dostosowane do warunków. W górach ślubne buty będą wyglądały kuriozalnie, ale obuwie trekkingowe nie tylko zapewni bezpieczeństwo, ale będzie też detalem nadającym fotografiom charakteru.

Bo głównie o klimat w fotografii ślubnej chodzi. Oczywiście na pierwszym miejscu jest wartość sentymentalna, ale ślub – najczęściej – bierze się raz w życiu. Tak samo robi się sesję ślubną, dlatego warto wtedy pozwolić sobie na nieco więcej i w końcu raz w życiu zrobić coś inaczej.





Wesele w stylu boho pasuje nad Gwdą i Notecią

Luz, lato, ciepło, słońce, kwiaty, natura... Boho, to ten styl weselny, który naturalnie pasuje do regionu nad Gwdą i Notecią.

Nie musisz nic – zdaje się mówić wszystko, co kojarzymy z boho. Jest natura. Jest bliskość. Są trochę cygańskie, a trochę hippisowskie stroje i dekoracje. Jest jasno, jest dużo drewna i jeszcze więcej powietrza. Bo boho to nie tylko ciuchy. To cała estetyka otaczającego świata. Także ślubu i wesela – nie tylko dla panien młodych, które chętnie wkładają kwietne wianki na głowę i w noc świętojańską idą nad rzekę.

Ślub i wesele w stylu boho, to okazja, by zrobić coś specjalnego. To wasz dzień. Jeżeli marzyliście o tym, by być bliżej natury, jak i o tym, by wasze wesele było wyjątkowe – inspiracji możecie szukać właśnie tutaj. Miejsce? Las, jezioro, pomost, łąka... Pojawia się coraz więcej miejsc garściami czerpiących z boho, stylizowanych na stodoły, pełnych drewna, wysokich pomieszczeń, powietrza, nawet źródła światła kojarzących się z tym szczególnie rodzajem wolności unoszącej się w powietrzu.



W waszych strojach będą królować naturalne tkaniny, luźne, raczej szerokie formy, a u pań – wszelkie elementy koronkowe, u panów – szelki i luźne koszule. Nawet fryzury mogą przypominać artystyczny nieład.

Ale najważniejszy jest klimat. Boho to wolność, swoboda, ale też lenistwo – bez pośpiechu, bez przymusu, bez wystudiowanych, starannie przygotowanych form i zasad. Chodzi o radość i wygodę. I o chill, bo w końcu każde wesele potrafi zmęczyć. Kto wie, może bohema zagości w waszym wspólnym życiu na dłużej? W końcu świetnie współgra z regionem nad Gwdą i Notecią.

KARTA PODARUNKOWA. NA PREZENT!



Szukasz upominku dla bliskiej osoby?

Karta podarunkowa VIVO! honorowana we wszystkich sklepach naszego centrum to idealny prezent na każdą okazję!

vivo-pila.com



PIŁA

BETTER SHOPPING
BETTER LIFE